

KURIER SOBIESKIEGO

KWIETIEŃ/MAJ 2022





NATALKA WALESIENIUK



JANEK WYRZYKOWSKI



PROF. DOROTA SECH



JUL KOMINEK



MARTYNA KNZYIAK



WIKTORIA
KRASZENINNIKOWA



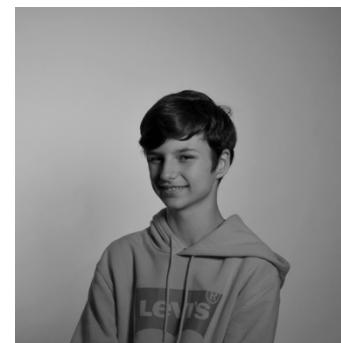
GUSTAW MARCINKOWSKI



KUBA BOBER



JULIA WIĘCH



GUSTAW SZASZKIEWICZ



MARIA JUŽKÓW



KASIA WINIARZ



IGA PIĘTRZAK



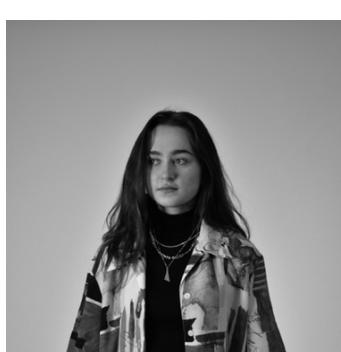
MAJA PACIEJEWSKA



NINA JAŹNICKA



ALEKSY JAKUBIEC



MARIA LUDWISIAK



BACHA SKORUPSKA

SŁOWEM WSTĘPU

Składając najnowszy numer Kuriera oraz zastanawiając się nad tym, które zdjęcie wybrać na okładkę, zdałam sobie sprawę, że po raz kolejny okładka związana jest z jedzeniem. Tym razem nie były to warzywa, a podczas sesji przechodnie nie rzucali w naszą stronę dziwnego spojrzenia, gdy widzieli, jak pozujemy do fotografii z brokułem. Jul i Janek jedli polskie jedzenie w barze mlecznym na Sadach Żoliborskich, a ja towarzyszyłam im, robiąc zdjęcia. Jednak muszę was zmartwić, w środku nie znajdziecie żadnego tekstu na temat zdrowych zasad żywienia czy wymyślnych przepisów, za to mamy nadzieję, że lektura najnowszego numeru będzie prawdziwą intelektualną ucztą. Przed Wami wywiad z fotografem Konradem Tułakiem o tym, dlaczego nie wyobraża sobie życia bez tworzenia. Dowiecie się, kto zdobył statuetki na tegorocznej gali Oscarów oraz jaki film jest odzwierciedleniem prawdziwej przyjaźni. Poznacie bliżej poglądy Arystotelesa i przeczytacie, jak wygląda szkoła w Finlandii. Między tekstami znajdziecie galerię zdjęć (jeżeli przez nią zgłodniejecie, nie biorę na siebie żadnej odpowiedzialności). Nie zabraknie również tekstów o muzyce, będzie trochę o sporcie, a na koniec zostawiłyśmy wisienkę na torcie. Bidon – którego brakowało nam wszystkim przez kilka ostatnich wydań. Przysięgam, że nie żartuję, on naprawdę tutaj jest.

To ostatnie wydanie Kuriera dla naszych maturzystów. Kiedy to czytacie, macie już za sobą egzamin, którym każdy was straszył, kiedy przyszliście do liceum. Jednak nigdy nie jest za późno na powiedzenie wam kilku miłych słów. To podziękowanie dla Was, dla osób, które dumnie towarzyszyły w tworzeniu Kuriera oraz naszych czytelników – wspominając po latach czasy liceum, wspomnijcie, że mogliście czytać najlepszą gazetę młodzieżową tamtych czasów! Nikt tak ciekawie nie pisał o tematach modowych jak Maja. Nie wiedzielibyśmy, które rozwijające biznesy możemy wspierać, gdyby nie cykl tekstów Marii o Małych Markach. Hela zawsze wpadała na ciekawe pomysły, a moim ulubionym był ten o kaczkach.

Stasiek, to dzięki Tobie Kurier tak prężnie rozwijał się na Instagramie, za co jesteśmy Ci wdzięczni. Gdyby nie Kuba Kurier nie zostałby zilustrowany w tak wyjątkowy sposób (tak, wiemy, że czasem, aż ciężko było spełniać życzenia redakcji). Kasia zbierała nas w wyjątkowe zakątki polski, Michał wyjaśniał, w jaki sposób myślimy, a to jeszcze nie koniec osób, które na jakimś etapie spotkały się z Kurierem. Dziękujemy każdemu z Was, bo bez Waszych tekstów gazeta nie byłaby taka ciekawa. Trzymamy kciuki za Waszą maturkę i życzymy powodzenia na dalszej drodze. Będziemy za Wami trosknąć i wspominać Was na długie lata. Nie tylko my, ale także Wasi wychowawcy, pod których skrzydłami spędziłyście wszystkie lata w Sobieskim. To kilka słów od nich...

NATALKA WALESIENIUK

KLASA 3AG

Moja klasa jest jak Morfeusz, Trinity i Neo razem wzięci. Kiedy ich nie ma na pierwszych czy ostatnich lekcjach, z pewnością ratują Zion, ostatnie ludzkie miasto na Ziemi. Gdy zgubisz właściwy przystanek w Łodzi i szukasz następnego 5 km dalej, puszczą oko: „To tylko Matrix”, a jeśli natkniesz się w życiu na swojego agenta Smitha, wyśślą na grupie właściwy kod ratunkowy. Zachowam w pamięci wiele naszych wspólnych chwil. Powodzenia na maturze i do zobaczenia za rok na następnym „chińczyku” w Łazienkach.

PROF. MAŁGORZATA GODLEWSKA

MATURZYSI

KLASA 3BG

Moja kochana klaso, serdecznie dziękuję za trzy lata pracy z wami. Za psoty na wyjeździe integracyjnym, za wyjątkowe godziny wychowawcze na zdalnym, za wszystkie nasze wspólne spotkania w murach Sobieskiego. Za dawanie mi powodu do płaczu i do radości. Dziękuję, że przez te wszystkie trzy lata miałam was w opiece, a wy mnie.

PROF. DOROTA KOZŁOWSKA

KLASA 3CG

Pozytywni, uśmiechnięci, wysportowani. Między osiemnastkami a sportem znajdowali (czasem) kilka godzin by odwiedzić Sobieskiego.

PROF. ADAM JANECKI

KLASA 3DG

Mili moi, lubię z wami rozmawiać. Nasze klasowe spotkania zawsze miały w wyjątkowej atmosferze. Nawet te online! Bardzo dzielnie stawialiście czoła największym trudom - przejściu przez Dolinę Kościeliską w Tatrach, lekcje językowe, ćwiczeniom sportowym, porannemu wstawaniu. O waszą kondycję dbał sztab specjalistów od zdrowia ciała i ducha. Oraz Pani pielęgniarka. Kojarzę was przede wszystkim kolorowo... z całą paletą barw włosów, strojów no i makijażem halloweenowym przez cały rok! Pomimo dzielących Was różnic, wydaje mi się, że przyjęta przez Was zasada tolerancji wobec innych i inności, sprawdzała się. Swoich uczniów się nie zapomina. Bardzo się cieszę, że Was poznala, a może przy okazji czegoś tam nauczyłam.

PROF. MAŁGORZATA ŚMIGIERZEWSKA

KLASA 3EG

Uczniowie z ogromną miłością do muzyki, pasją do teatru. Z dużą wrażliwością i nieokielzaną energią. Będę miała ich w pamięci i w sercu.

PROF. ANNA LUBAŃSKA

KLASA 3FG

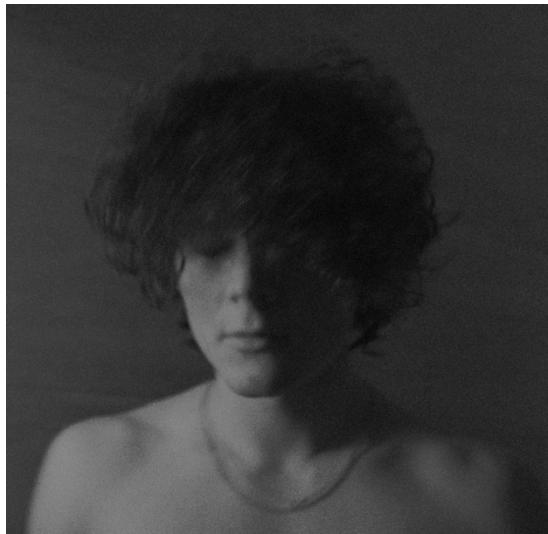
A zatem trzy lata za nami - dziwne, trudne, nie do wymyślenia. Zaczęło się od śmieszkowania na arabskim, poprzez zmykanie z lekcji na frytki, aż dopadł nas długi cień pandemii. To wtedy wszyscy próbowaliśmy się jakoś pozbierać, odnaleźć, bardziej i mniej serio. Na lekcjach przedstawialiśmy sobie nasze zwierzaczki, ale głównie walczyliśmy o dostęp: z naszymi psami i kotami, żeby pozwoliły nam uczestniczyć w lekcji; była też próba przejęcia prowadzenia zajęć przez papugę. I dużo innych prób. Daliśmy radę. W ostatniej klasie, po tych wszystkich doświadczeniach, wyraźnie widać, jakimi staliście się wspaniałymi i dojrzałymi ludźmi. Tworzyście zgraną grupę, solidarną i godną zaufania. To bardzo dużo. Wszystko przed Wami, macie los w swoich rękach. Zapewniam, że będzie mi Was brakowało.

PROF. JAŚMINA SAMSEL

NIE WYOBRAŻAM SOBIE ŻYCIA BEZ TWORZENIA

WYWIAD Z KONRADEM TUŁAKIEM @NGHTLOU

Już po kilku pytaniach zadanych Konradowi wiedziałyśmy, że wywiad będzie jednym z dłuższych, które do tej pory przeprowadziliśmy. W rozmowie opowiedział więc o początkach przygody z fotografią i o swoim pierwszym aparacie, o tym, dlaczego woli być inni niż wszyscy i jak ważne jest dla niego tworzenie i przemianie.



JAK OPISAŁBYŚ TO, CZYM AKTUALNIE SIĘ ZAJMUJESZ? KIM JESTEŚ?

KONRAD TUŁAK: Na tę chwilę nie wiem, czy jestem bardziej reżyserem, czy fotografem. Zajmuję się szeroko pojętym tworzeniem wizualnym. Trochę directiem, trochę doradztwem kreatywnym. Robię dużo zdjęć, teledysków. Obecnie nie jestem do końca pewien, w którą stronę bardziej zmierza moja kariera.

SKĄD U CIEBIE ZAJAWKA NA FOTOGRAFIĘ? INTERESUJESZ SIĘ NIĄ OD DZIECKA, CZY PASJA POJAWIŁA SIĘ DOPIERO NIEDAWNO?

Gdy miałem 15 lat, dostałem od taty aparat za super śmieszna cenę. Wcześniej robiłem pełno zdjęć telefonem. Zacząłem bawić się aparatem od taty, robić zdjęcia wszystkiemu, czemu się da. Tak przerodziło się to w robienie zdjęć znajomym, później znajomym z barterowymi ciuchami na sobie. Jakiś czas później dostałem propozycję robienia zdjęć na koncercie SB Maffiji w Katowicach.

PRZYJĄŁEŚ JĄ OD RAZU, CZY MIAŁEŚ CO DO NIEJ WĄTPLIWOŚCI?

Zacznijmy od tego, że nie wiedziałem, co to jest SB Maffija (*śmiech*). W pierwszym ruchu odrzuciłem to, bo miałem plany na piątkowy wieczór i uznałem, że skoro nie znam za bardzo polskiego rapu i go nie słucham to lepiej to odpuścić. Potem pomyślałem, że może warto zmienić plany i zrobić coś ciekawego, czego nigdy wcześniej się nie robiło. Poszedłem tam i okazało się być super. To jedna z tych decyzji, którą na początku odrzuciłem, ale później szybko zmieniłem o niej zdanie. Redaktorowi GlamRapu, dla którego robiłem wtedy zdjęcia, trochę po ziomalsku, spodobały się moje zdjęcia i spytał się, czy nie chciałbym pracować też na Que Festivalu. Od koncertu SB minęło wtedy 3 miesiące. To był też czas, w którym zainteresowałem się bardziej tematem, czytałem o sprzęcie i o tym jak powinno prawidłowo robić się fote na koncertach. Wątpię, że w Internecie da się znaleźć cokolwiek wartościowego na ten temat. Internet i fotografia ogólnie nie za dobrze się dogadują. Żadne wcześniejsze koncerty w tej trzymiesięcznej przerwie nie wydawały się mi interesujące przez to, że nie siedziałem w polskim rapie. O uszy obiło mi się już gdzieś wcześniej Quebonafide, ale w dalszym ciągu nie znałem żadnej jego piosenki.

W TAMTYM MOMENCIE BYŁEŚ BLISKO ZREZYGNOWANIA Z TEJ ŚCIEŻKI, CZY PCHNĘŁO CIĘ TO W STRONĘ KOLEJNYCH KONCERTÓW?

Po tych dwóch koncertach i kilku miesiącach obcowania z rapem złapałem zajawkę i zacząłem więcej się nim interesować. Kiedy po koncercie przeglądałem zdjęcia, poczułem, że efekt mojej pracy daje mi bardzo dużo satysfakcji i motywacji, aby robić to dalej. Uznałem, że to super zabawa. Nieznana mi wcześniej muzyka okazała się nowym odkryciem i świetną formą spędzania wolnego czasu. Uznałem wtedy, że jeśli chodzi o robienie koncertowych zdjęć – jestem na „tak”. Potem doszedł Czeluś Festiwal w Krakowie. Dalej poszło już samo.

JAK SIĘ POCZUŁEŚ Z TYM, ŻE LUDZIE ZACZĘLI WIEDZIEĆ, KIM JESTEŚ? ZACZĘLI ROZPOZNAWAĆ CIĘ W GRONIE KONCERTOWYCH FOTOGRAFÓW, SAMI WYSYŁALI DO CIEBIE ZAPROSZENIA, A BYŁEŚ JEDNAK JESZCZE MŁODY I JAK SAM MÓWISZ, DOPIERO WCHODZIŁEŚ W TEN ŚWIAT.

Na pewno towarzyszyło mi poczucie dużej satysfakcji. Zacząłem być zauważany i doceniany chociażby przez wstawienie zdjęcia na Instagrama przez bardziej ode mnie znanego artystę. To jest spora rzecz jak dla nastolatka. Uczucie szybkiego wzrastania endorfin, radości. Trzeba przyznać, że jest to przyjemne. Daje też możliwość rozwoju i poszerzenia grona odbiorców. Osobiście nigdy raczej nie skupiałem się za bardzo na tym, że jestem w jakikolwiek sposób rozpoznawalny. Głównie przez to, że moja rozpoznawalność brała się nie z tego, kim jestem, a raczej z tego jakie zdjęcia robiłem.

A CZY KTOŚ NARUSZYŁ KIEDYŚ TWOJĄ ANONIMOWOŚĆ I ROZPOZNAŁ CIĘ NA KONCERCIĘ?

Często zdarzało się, że ludzie mnie jakoś kojarzyli. Bardzo często jestem mylony z schafterem, co jest dość zabawne, bo się przyjaźnimy. Kiedy chodziłem po Feście z CatchUpem ludzie mnie z nim mylili. Zwłaszcza, że zarówno Catchup, jak i Schafter grali na festiwalu. Może to wina moich włosów i ich podobnego koloru. Myśle, że na losowych wydarzeniach częściej jestem mylony z Wojtkiem niż kojarzony jako ja.

PO TWOIM INSTAGRAMIE WIDAĆ, ŻE TWOJE ZDJĘCIA WYRÓŻNIAJĄ SIĘ OD INNYCH TYM, ŻE SĄ ROBIONE ANALOGAMI LUB TAŃSZYM SPRZĘTEM. CO CIĘ PODKUSIŁO, ABY ZOSTAWIĆ ODSTAWIĆ NA BOK DROŻSZY SPRZĘT?

Bardzo możliwe, że była to już jakaś rutyna. Robilem bardzo dużo zdjęć w klubie w Katowicach. Uznałem, że to jest ta sama scena, podobne wydarzenie, czasem zdarzał się koncert tego samego artysty. Trzeba było zacząć kombinować, aby dla mnie wciąż to, co robię, było ciekawe zarówno wizualnie, jak i jako doświadczenie. Stąd wzięła się chęć poszukiwania nowych form wyrazu. Zawsze na początku ludzie chcą iść ze sprzętem w górę, aby był coraz lepszy i droższy. Kiedy miałem swój sprzęt określany przeze mnie jako „dający sobie radę”, zacząłem trochę od niego odchodzić. Chciałem, aby zdjęcia były ciekawsze i wyrażały coś więcej. Bliska jest mi estetyka niedoskonała, zatrzymana w czasie. Daje mi większe pole ekspresji. Jest więcej rzeczy, które można zepsuć, są mniej idealne i zmienne. To pozwala na otwartość artystyczną.

CO CHCIAŁBYŚ PRZEKAZAĆ SWOIM ODBIORCOM SWOIMI ZDJĘCIAMI?

Myśle, że każde zdjęcie jest trochę inne, ale wiem, że zawsze blisko moich zdjęć jest motyw *przemiany*. Brzmi to trochę jak rozprawki z polskiego (*śmiech*), ale naprawdę to czuję. Przez to, że są one często rozmyte w czasie

i w ruchu mogę się z nimi silniej połączyć. Tańczyłem przez 12 lat i sam motyw zmiany i ciągłego ruchu jest dla mnie najważniejszy. Gdybym miał określić jednym łatwym słowem, co przekazują moje zdjęcia, wydaje mi się, że byłoby to właściwie – poruszenie.

MASZ OSOBY, KTÓRYMI SIĘ INSPIRUJESZ, CZY JEDNAK INSPIRUJESZ SIĘ WŁASNYMI DOŚWIADCZENIAMI?

Wydaje mi się, że była taka osoba, kiedy zaczynałem robić zdjęcia i był to Alessio Albi, to włoski fotograf, który robi super zdjęcia i portrety. Nadal podobażą mi się jego prace, ale to nie jest już styl, którym się jaram. Chociaż przyznam, że zrobił świetną serię zdjęć przez *facetime*, gdy rozpoczęła się pandemia i lockdown. Te zdjęcia były niesamowite. Później wszyscy zaczęli je robić, ale żadne nie było ani w połowie tak dobre jak jego. Na obecną chwilę najbliżej jest mi do Juliana Klincewicza, którym zajarałem się rok/dwa lata temu. Jest to mój ulubiony artysta wizualny.

NA PEWNO PRZEZ TE WSZYSTKIE LATA SPOTKAŁEŚ SIĘ Z NARUSZANIEM PRAWA AUTORSKIEGO. CZY ZDARZA CI SIĘ TO Często? JAK SOBIE Z TYM RADZISZ?

Teraz zdarza mi się to dużo rzadziej niż kiedyś. Przez to też, że moje zdjęcia są mniej określone i dużo trudniej dać je do artykułu o danym muzyku. Kiedy moje fotografie są publikowane w artykułach, są to materiały promocyjne, które są pod to specjalnie przygotowywane. Łamanie praw autorskich jest dużym problemem i myślę, że trzeba zwiększać świadomość na ten temat. Nie wiem, czy jakkolwiek to, że nagłośniłem w branży bezprawne wykorzystanie moich zdjęć, miało wpływ na to, że spotykam się z takim zachowaniem teraz coraz rzadziej.

NIE ROBISZ TYLKO ZDJĘĆ, ALE TEŻ ZAJMUJESZ SIĘ TELEDYSKAMI. NA CZYM W TYM ZAKRESIE OPIERA SIĘ TWOJA PRACA?

Zależy to od projektu. Zazwyczaj jestem „jednoosobowym cyrkiem” jak określił to mój kolega Luke Jascz. Przy *Rysach* robiłem absolutnie wszystko, począwszy od nakręcenia teledysku, przez zmontowanie i oczywiście reżysersowanie, aż po scouta lokacji, kierownika produkcji i stylistę. Czasami moja rola polega na ogarnięciu absolutnie wszystkiego, czego się da, a czasem jest to tylko bycie reżyserem, który dowodzi całym zespołem, ale ma innego operatora, inną osobę zajmującą się stylizacjami. Zdarzało się, że sam byłem operatorem, teraz zdarza się to rzadziej. Trochę za tym tesknię. Bycie tym jednoosobowym cyrkiem jest rolą dość destrukcyjną, ale czuje się wtedy najbardziej zadowolony z tego, jak wszystko wychodzi. Czuję, że wszystko jest moje i przez pewien perfekcjonizm, ostateczne dzieło jest czymś, z czym mogę się w 100% utożsamiać.

Z KIM UDAŁO CI SIĘ NAWIĄZAĆ POWAŻNIEJSZĄ WSPÓŁPRACĘ?

Jeżeli chodzi o pierwszą fotograficzną współpracę z muzykiem był to Young Igi pod koniec 2017 roku. Robilem sesję zdjęciową jemu i jego dziewczynie, Patrycji Krypo. Była to największa rzecz, jaką robiłem do tej pory. Pamiętam, że na tej sesji bardzo się stresowałem, ale wszystko wyszło dobrze. To była pierwsza współpraca, w której to ja musiałem mieć większy wpływ na tę rzeczywistość. Pierwszy większy teledysk to Tymek feat. Frosti – *Tabletki*. Nagrywałem to moim aparatem, bardzo podstawowym sprzętem a montował to mój przyjaciel, ne.edy. Z perspektywy czasu patrzy się na to z lekkim przymrużeniem oka i to nie jest coś, czym bym się mógł teraz pochwalić, ale fajnie, że miało to miejsce. Pierwszą rzeczą, którą robiłem w całości samemu, był CatchUp – *Danse Macabre*. Tu rozpoczynał się nowy etap w mojej twórczości, bo zmieniłem teledyski tylko na patencie, na takie, w które zacząłem wpłatać bardziej osobiste rzeczy.

KTÓRA FOTKA I KTÓRY TELEDYSK JEST W TWOJEJ TOP LIŚCIE?

Wydaje mi się, że wybrałem Rysy. Jestem bardzo blisko z tym projektem i moje ulubione zdjęcie to okładka singla 88. Ulubiony teledysk to któryś z trzech, które dla nich zrobiłem. Zmienia się to bardzo często. Jako osobny twór wydaje mi się, że najlepiej działa *4GET*, bo jest jako pierwsze. *Video* dla Rysów to jest coś, co mógłbym nazwać moim *katharsis*. Przelałem tam wszystko, co miałem do powiedzenia przez 21 lat swojego życia.

Z KIM CZUŁEŚ, ŻE MIAŁEŚ DOBRY WORKFLOW, JEŻELI CHODZI O ZDJĘCIA I TELEDYSKI?

Wydaje mi się, że świetne zdjęcia wielokrotnie robiło mi się z Tymkiem. Wychodziły z tego fajne rzeczy, współpraca ta była płynna i naturalna. Jeżeli chodzi o video to przy Rysach miałem wolną rękę. Świeśnie pracuje mi się z Michałem Aniołem, którego też art-directuje. Dzięki temu, że się przyjaźnimy i mieszkaliśmy ze sobą ten kontakt jest dużo łatwiejszy i nie ma tu mowy o stresie. Wszystko jest szczerze i autentyczne. Trafiłem na dobrych ludzi, z którymi miałem okazję współpracować. CatchUp, schafter, Mata, Igi, długo by wymieniać. Nie miałem sytuacji, gdzie jakiś projekt był absolutną porażką pod względem kontaktu z artystą. Branża jest czasami ciężka, ale ludzie w niej są super. Czasem wydaje nam się, że są tam gwiazdy, które lubią przysłowiowo przygwiadzorzyc. Tymczasem można być pozytywnie zaskoczonym.

JAKIE MASZ PLANY NA DALSZY ROZWÓJ?

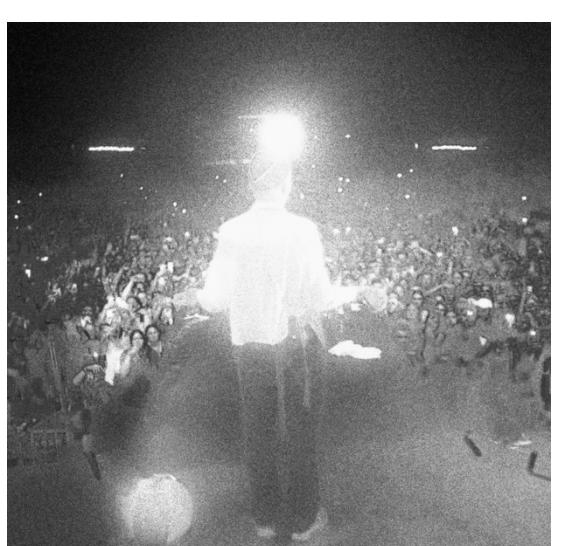
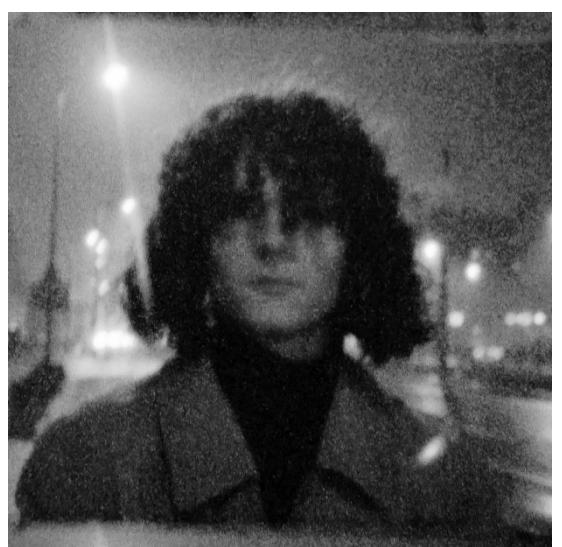
Chciałabym trochę poszerzyć działania zagranicą. Pierwszy krok w tym kierunku już poczyniłem, robiąc teledysk dla dj poolboi'a, którego jestem wielkim fanem. To chyba jedyna rzecz, którą mam w głowie na ten moment, bo nigdy nie miałem żadnych celów i marzeń *stricto* artystycznych. Wydaje mi się, że żyję z dnia na dzień i bardzo mało planuję.

MASZ OSOBĘ, KTÓREJ CHCIAŁBYŚ POROBIĆ ZDJĘCIA LUB WYREŻYSEROWAĆ TELEDYSK CZY RACZEJ WYCZERPAŁEŚ SWÓJ REPERTUAR „RZECZY, KTÓRE CHCIAŁBYM ZROBIĆ”?

Właśnie dlatego chciałbym zacząć działać za granicą, bo w Polsce ta scena jest dużo mniejsza. Wyszło tak, że z większością artystów, z którymi chciałbym coś kiedyś zrobić, miałem już styczność, więc chciałbym wyjść poza Polskę. Gdybym miał takie marzenie, komu chciałbym zrobić teledysk to byłby to Yves Tumor. Jeżeli kiedyś to zrobię, to uznam: „wow, to jest super sprawa”. W sumie teraz mówię, że uznam to za „super sprawę”, ale kiedy będę na miejscu i będę to robić to uznam, że to przecież normalne. Nigdy nie miałem 100% uczucia, że teraz jestem już zadowolony z tego, co robię i nie chcę iść dalej.

Z TEGO CO MÓWISZ, WYNIKA, ŻE JESTEŚ SAMOUKIEM. CZY UKOŃCZYŁEŚ JAKĄ SZKOŁĘ ZWIĄZANĄ Z FOTOGRAFIĄ/FILMEM?

Absolutnie nie, bo nie była to wcześniej moja bajka. Na początku w ogóle nie miałem planów związanych z fotografią czy filmem. Tańczyłem profesjonalnie taniec towarzyski, a zdjęcia i filmy robiłem czysto z zajawy, z samej przyjemności robienia. Nigdy nie miałem konkretnego celu, do którego mógłbym dążyć. Nigdy nie miałem celów finansowych ani nie chciałbym publikacji w jakimś magazynie. Nie miałem za sobą nic, co by mnie popchnęło. Sam proces i samo tworzenie było dla mnie mega super rzeczą i w pewnym momencie musiałem zdecydować czy postawić na taniec, czy na fotografię i film. Stanęło na sztukach wizualnych. Wszystko poszło w taką stronę, że mam teraz pełno znajomych, od których mogę czerpać inspirację i też wielokrotnie z nimi rozmawiam. Mogłbym wspomnieć tu o Wojtku Pietryce. Rozmawialiśmy przez telefon i na żywo pewnie z pięćset razy na temat tworzenia. Wydaje mi się, że najwięcej inspiracji czerpię od ludzi, z którymi tworzę i otaczam się masą świetnych artystów. Od nich nauczyłem się najwięcej.





CZYLI MYŚLISZ, ŻE LUDZIE DAJĄ CI KOPA DO DZIAŁANIA?

Na pewno, tak było przez całe życie. Teraz mieszkam w Warszawie i daje mi to możliwość, aby mieć kontakt z tymi ludźmi na co dzień. To naprawdę świetna rzecz.

JAK NA PORZUCENIE TAŃCA I PÓJSCIE W STRONĘ FOTOGRAFII ZAREAGOWALI TWOI BLISCY?

Na początku podchodziło do tego sceptycznie. Pamiętam żartobliwe głosy, kiedy zaczynałem robić zdjęcia znajomym po 20 złotych. „Myślisz, że ludzie będą Ci płacić za zdjęcia?”. Mieszkałem, w Sosnowcu, panuje tam inna kultura niż w największych miastach. Tam raczej padały hasła, że mi się nie uda i nawet nie mam po co w to brnąć. Kiedy już w miarę zaczęło mi się udawać, te negatywne głosy zamieniły się na pytania, czy mógłbym ich wkręcić na koncert albo *backstage*. Ale wydaje mi się, że miałem duże wsparcie od bliskich i przyjaciół. Dalsi znajomi mogą sobie mówić, co chcą, ale to wsparcie od najbliższych popchnęło mnie, żeby wciąż realizować się w tym, co robię. Traktuję to, co robię jak moje życie, nie rozgraniczam tego, że jest to moja praca, a gdzieś tam jest prywatność. To jest część mnie i nie wyobrażam sobie życia bez tworzenia. Zawsze byłem też indywidualistą i robiłem dużo rzeczy wbrew systemowi. Często miałem wyjazdy na koncerty w dni szkolne, czasem był to problem dla nauczycieli.

NIE OBAWIAŁEŚ SIĘ ROZPOZNAWALNOŚCI?

Przez to, że wchodziłem do tego świata, w ogóle nie znając tych ludzi, nie miałem wobec nich żadnych oczekiwani, ani nie znałem żadnej skali, było to dla mnie bardzo naturalne. Nie traktowałem ich jako osoby sławne, których trzeba się bać. To normalni ludzie. Wydaje mi się, że to, że byłem w stanie utrzymać z nimi kontakt na równi, jest dużą częścią składowej, która przyczyniła się do tego, że można uznać, że coś osiągnąłem.

JAKI PROGRES W SOBIE ZOBACZYŁEŚ, ODKĄD ZACZĄŁEŚ TWORZYĆ? ZNALAZŁEŚ FORMĘ, W KTÓREJ CZUJESZ SIĘ NAJLEPIEJ?

Wydaje mi się, że każdemu, kto zaczyna robić zdjęcia, wiele rzeczy na początku nie wychodzi, robi złą kompozycję. Wszystkie zdolności okolotechniczne przez to, ile zdjęć robiłem na koncertach, poszyły bardzo w górę. Potrafię bardzo szybko działać pod presją czasu na koncercie, ale największy progres na pewno jest w całym kreowaniu rzeczywistości. Kiedyś nie istniał *storytelling*, nie reżyserowałem nic i nigdy nie chciałem tego robić. Pojawiło się to z czasem, naturalnie. Teraz ten progres zauważam w tym, że chcę, żeby moje zdjęcia przekazywały jakąś historię. To jest największa różnica.

CZYLI WSZYSTKO, CO ROBISZ, JEST MNIEJ WIĘCEJ SPONTANICZNE?

Tak, spontaniczne i z obecnej chwili. Ostatnio trochę więcej planuję przez to, że działam z Michałem Aniołem jako art director. Zakładamy też agencję, która nazywa się *Nice*. Tam działam, więc trochę muszę zająć swoje myśli organizacją pracy. W mojej działalności artystycznej wszystko jest ruchome i zmienne cały czas.

JEST WIELE OSÓB, KTÓRE BOJĄ SIĘ TWORZYĆ PORTFOLIA I WYJŚĆ Z FOTOGRAFIĄ DO LUDZI. CO BYŚ IM PRZEKAZAŁ.

Mogę powiedzieć, że tak naprawdę robiąc zdjęcia na koncertach, jest się bardzo anonimowym. Cały fokus jest skupiony na artyście. Nawet robiąc zdjęcia ze sceny, mało osób zwraca na ciebie uwagę (jeśli nie przeszklasz im lub artyście). Absolutnie nic się nie stanie, jeżeli napiszesz do organizatora, że chcesz mieć akredytację. Nie pchałbym się na pierwszy koncert finansowo, dowiedziałbym się czy jest to dla mnie. Nic się nie stanie, jeśli zdjęcia będą złe. Nie ma co się bać, trzeba znać swój sprzęt i to jest najważniejsze. Co do portfolio, zależy to od wydarzenia. Dostanie się na koncert znanego artysty jest trudniejsze niż mniej znanego w mniejszym mieście. Portfolio wcale nie musi być profesjonalne. Myślę, że optymalnie można nawet zacząć ze zdjęciami znajomych, którzy są muzykami lub grają w niszowej kapeli. Można po przyjacielsku wkręcić się i tam robić zdjęcia. Próbujemy robić coś, co pozwoli nam się z koncertu na koncert dostać wyżej.

NATALKA WALESIENIUK, MARTYNA KNYZIAK



ODRODZENIE KOLORU W LATACH 60

Za nami 21 marca i początek wiosny. Powoli wyjmujemy cienkie kurtki, wychodzimy do szkoły i wracamy z niej, gdy za oknem świeci słońce. Razem z przebudzeniem się natury, budzą się też kolory. Kolory, tęcza i definiowanie siebie to również motywy, które pojawiały się w ruchu hipisowskim w latach sześćdziesiątych. Wracano też do średniowiecznych figur, takich jak figura Błazna. Inspiracje te pobudzały do życia!

THE FOOL COLLECTIVE DESIGN

Błazen jest najbardziej obecny w kolekcjach The Fool Design Collective. Sama nazwa kolektywu to karta Tarota – Głupiec. Karta Głupca nie tylko przedstawia postać błazna (często w kolorowym stroju i ciżemkach) i symbolizuje młodość, ale też działania twórcze i kreatywne, czyli te, którymi kierowali się członkowie kolektywu. W jego skład wchodzili Yosha Leeger, Simon Posthuma, Barry Finch oraz Marijke Koger. Ta ostatnia, Marijke, rzuciła dla mody szkołę średnią, aby w wieku 18 lat otworzyć swój pierwszy butik w Amsterdamie. Po czasie jednak z wcześniej wymienionymi holenderskimi artystami przeprowadziła się na wyspę sztuki – Ibizę. To właśnie tam zostało wykonane słynne zdjęcie kolektywu. Fotografia ta obiegła świat, co szybko poskutkowało przeprowadzką grupy do Londynu. Z dnia na dzień młodzież stolicy Wielkiej Brytanii z geometrycznych ubrań otworzyła się na kolor i szaleństwo, jakie proponował kolektyw The Fool. Nie miał jednak wpływu jedynie na modę uliczną. Twórcy zajmowali się również fotografią, dekoracją mebli, wykonaniem murali (największy w Aquarius Theatre) oraz sztukami wizualnymi. To oni zajęli się wykonaniem filmu Wonderwall z 1968 roku z Jane Birkin w głównej roli oraz z muzyką George'a Harrisona w tle. Artyści również pomalowali jego auto. The Fool i Beatlesów łączyła bliska relacja. Wszystko zaczęło się, kiedy zafascynowani nową falą John Lennon i Paul McCartney odwiedzili mieszkanie zespołu. Od razu zakochali się w jego psychodelicznej estetyce. Zaowocowało to później współpracą z całym zespołem (między innymi stworzeniem albumu Sgt. Pepper's Lonely Hearts Club Band, zmianą garderoby, wizerunku i stylu Beatlesów). Swoją działalność zakończyli rok po zaprzyjaźnionym zespole – w 1970 roku. Kreatywność oraz rozwój. Styl życia, jaki prowadzili The Fool Design Collective, był na tyle fenomenalny, że nadal ma wpływ na modę 60 lat później oraz prowadził do zlecenia kolektywowi sklepu The Apple Boutique.

THE APPLE BOUTIQUE

Kiedy myślimy o logo z jabłkiem, pierwsza firma, która przychodzi nam do głowy to Apple Inc., a razem z nią Steve Jobs. Nie myślimy o Beatlesach, a na pewno nie o ich sklepie, The Apple Boutique, który wszedł na rynek, kiedy Steve Jobs był jeszcze dzieckiem. Spór między tymi dwoma przedsiębiorcami trwał lata i był bardzo burzliwy, jednak w dzisiejszych czasach, użytkownicy iTunes mogą słuchać już zespołu ze swoich telefonów. Mimo tego, że butik działał rok, zyskał dużą popularność. Tak jak wspomniałam, architekturą oraz projektami sklepu zajmował się kolektyw The Fool, jednak samą działalność prowadziły siostry żony Georgesego Harrisona i supermodelki lat 60., Pattie Boyd- Paula i Jenny Boyd. Ta druga również była modelką, a jej świat kręcił się wokół mody, sztuki i muzyki. Była dwukrotnie żoną Micka Fleetwooda, członka psychodelicznego i równie czarodziejskiego zespołu Fleetwood Mac. Świat jest mały! Mimo że sklep miał tak znaną oprawę artystyczną, a klienci mogli skorzystać na miejscu z porad astrologa, już w 1968 roku upadł. Kiedy wiadomość o tym, że ubrania, które zostały, będą rozdane, każdy chciał znaleźć i zdobyć coś dla siebie. Mimo problemów na uboczu, ludzie pokochali The Apple Boutique za nietypowość i wyrażanie siebie.



THEMIS

Themis to również butik, który inspirował się postacią średniowiecznego Błazna. Temida była boginią prawa i porządku, co nie było cechą butiku. Pamela Courson, dziewczyna Jima Morrisona oraz założycielka Themis, często podkreślała, że sztuka Temidy była niedostępność, dlatego sklep był otwarty tylko w nietypowe, wybrane godziny. Środek butiku był bogato zdobiony piórami oraz lustrami. Pamela reklamowała swoją działalność stylem podobnym do The Fool, ale bardziej nowoczesnym. Później projekty stały się bardziej klasyczne. Nosiła je nawet Sharon Tate. Butik niestety nie produkował za wielu projektów, ludzie z grona Pameli i Jima mówili, że był raczej miejscem spotkań. Po śmierci Morrisona, w 1971 roku, po dwóch latach działalności, sklep został zamknięty, a wraz z nim przeminął inspirujący się średniowieczem styl. To niesamowite, jaką zmianę przeszło społeczeństwo od lat 50. do 60. Z jednokolorowych koszul, marynarek, klasycznych sukienek ludzie przerzucili się na kolorowe wzory, miks materiałów oraz szukali innych źródeł inspiracji. Wszystko obracało się wokół psychodelicznej estetyki oraz ruchu hipisów, które pomogły innym odkryć siebie na nowo. W czasach, w których miał miejsce pierwszy Woodstock, wielu młodych artystów i projektantów wprowadzało swoje projekty w życie. Podobne zjawisko widzimy teraz, kiedy pojęcie sztuki po pandemii się poszerzyło, a na ulicach ludzie szukają nowego stylu.

JULKA WIĘCH



A KTO TO... ἈΡΙΣΤΟΤΕΛΗΣ?

Arystoteles to filozof, którego imię kojarzą wszyscy, niezależnie od wieku. Czasami z opowieści rodziców czy rodzeństwa, czasami ze stron książek o historii starożytnej Grecji, rzadziej jednak z poznawania jego myśli. A szkoda, bo mimo że żył trochę ponad 2000 lat temu, był człowiekiem, który miał wyjątkowo dużo czasu, żeby myśleć o życiu. Chociażby dlatego, że nie musiał chodzić do pracy na dwa etaty. Jakie myśli pozostawił ten wielki uczony przyszłym pokoleniom? Co myślał o władzy? Co o kobietach?

Uwaga, disclaimer

Proszę nie przerażać się, to tylko alarm szkoleniowy, aby obudzić to, co najważniejsze – krytyczne myślenie. Przy formułowaniu swojej opinii na różne tematy warto zapoznać się z teoriami innych oraz czerpać z nich mądrości w nich zawarte. W przypadku Arystotelesa... należy być jednak bardzo ostrożnym. Uważam, że był on wybitnym myślicielem, którego refleksje rzadko różnią się od naszych, współczesnych, bo wyznacznikiem jest bycie człowiekiem, a nie epoka, w jakiej żyjemy. Zawsze należy jednak pamiętać, że 300 rok p.n.e. to czas, w którym nie było Internetu, postęp technologiczny nie był zbyt imponujący względem dzisiejszego, więc filozofowie, głosząc niektóre tezy, nie bazowali na faktach a, szeroko pojętym, rozumie czy uczuciach. W związku z tym ich stanowiska nie zawsze mogły być obiektywne, a często to, co głosili, jest po prostu sprzeczne z tym, co mówi nauka.

Dlatego nie warto przyjmować wszystkiego, co pisali myśliciele za słuszne, powołując się na ich autorytet w danej dziedzinie. Najlepsze co może spotkać filozofię to niezgoda, polemika, podważanie racji drugiej strony, ponieważ inspiruje do przemyśleń kolejne pokolenia, dając jej życie. Spory trwający tysiące lat, poszukujące prawdy, której nigdy nie znajdą, paradoksalnie, nadają filozofii

Platon się nie zna

Życie Arystotelesa można podzielić na trzy etapy. Pierwszy obejmuje czas uczęszczania przez niego do Akademii Platońskiej, gdzie w większości zgadzał się z tym, co słyszał. Drugi – działalność w Assos i Mitylenie to czas przemiany z posłusznego ucznia Platona w niezależnego myśliciela, bo to właśnie wtedy sformułował podstawy własnej doktryny. Trzeci etap to okres, w którym filozof kompletnie odcina się od myśli Platona i jego sposobu myślenia. Myśliciele nie zgadzali w tak wielu kwestiach, że Arystoteles, nazywany jest nie tylko najwybitniejszym uczniem, ale też największym krytykiem swojego nauczyciela.

Przykładowo, według Platona tylko rozum może doprowadzić człowieka do wiedzy. Wiąże się to z tym, że świat materialny, codzienny, w którym żyjemy, to jedynie odbicie pięknego świata duchowego. W związku z tym obserwując świat, nie da się dojść do prawdy i wiedzy, ponieważ przedstawia on jedynie namiastkę tego, co idealne.

Oczywiście Arystoteles miał przeciwny pogląd. Według niego, nie ma lepszego i gorszego świata, bo oba nie mogą istnieć bez siebie nawzajem. Dlatego też w pozyskiwaniu wiedzy ważną rolę odgrywały dla niego zmysły oraz obserwacje otaczającej go rzeczywistości. Dopiero na podstawie doświadczeń, dzięki rozumowi, należy według niego formułować wnioski i w taki sposób poznawać świat.

Uśmiechnij się, krótki poradnik

Co czyni człowieka szczęśliwym? To pytanie sprawia trudność ludziom od setek lat. Odpowiedzi na nie próbuje udzielić Arystoteles, wskazując na cnoty etyczne, do których każdy człowiek powinien dążyć. Nie rodzimy się z nimi, za to mamy możliwość ich nabycia oraz ćwiczenia. Filozof rozumie, że ludzie nie są w stanie zrobić tego za jednym razem lub od tak zwanego jutra, które nigdy nie nadchodzi. Szczególnie ważne jest więc dla niego, aby zmiana była procesem, który przechodzi w nawyk, a nie sporadycznymi akcjami niezmieniającymi szkodliwych przyzwyczajeń czy zachowań na stałe. Dlatego też nie należy nikogo karać za brak ich przestrzegania. Więzienie nie zmieni takiej osoby, za to dobry nauczyciel, kierownik, mentor już tak.

Do honorowego grona cnót etycznych wchodzą męstwo, umiarkowanie, hojność, wielkoduszność, taktowny dowcip, uprzejmość, uzasadniona duma, łagodność, prawdomówność, umiar w uczuciach, słuszne oburzenie. Najważniejsza z nich wszystkich jest jednak sprawiedliwość. Co ciekawe pojawia się tu jedna z ważniejszych zasad Arystotelesa – złoty środek. Wszystkie z cnót są umiejscowione między dwiema skrajnościami. Na przykład dowcip znajduje się między błazeństwem (nietaktowne żarty, których ludzie sobie nie życzą) a brakiem poczucia humoru (nieumiejętność wyłapania anegdoty utrudniająca komunikację, wprowadzająca szумy komunikacyjne). Analizując swoje zachowanie każdy człowiek powinien określić czy jego życiowe postępowanie jest zgodne z cnotami i jeśli tak nie jest, zmieniać swoje życie na lepsze, stając się szczęśliwszym.

Warto jest sobie zadać pytanie – czy warto? Nie zawsze przecież zmiana naszego postępowania jest czymś przyjemnym, wymaga często poświęceń oraz dużej dyscypliny, aby nie ulegać żądzom, ale też nie lekceważyć ich. Podporządkowywanie się pokusom nie będzie zbliżało ludzi do szczęścia, a upodabniało bardziej do zwierząt. Natomiast ignorowanie sygnałów od ciała jest nierozsądne. Przecież jest ono zależne od duszy i ma swoje potrzeby. Według Arystotelesa jedynie kierowanie się w życiu zasadą złotego środka zapewni ludziom osiągnięcie szczęścia, czyli najwyższego dobra. Dzięki niej ludzie nie będą popadać w skrajności, będą czynić добро, ale również pozostaną w zgodzie z samymi sobą.

Niemniej jednak niekiedy nie warto go szukać... bo go po prostu nie ma. Istnieją bowiem czyny niegodziwe, gdzie nie można znaleźć optymalnego rozwiązania. Należą do nich na przykład morderstwo czy kradzież.

Definicja przyjaźni

Bardzo istotna była dla Arystotelesa przyjaźń. Kto jest naszym przyjacielem? Co powinien robić prawdziwy przyjaciel? Jak go rozpoznać wśród innych? Filozof wyróżnia trzy rodzaje przyjaźni, a co za tym idzie, trzy rodzaje przyjaciół.

1. Przyjaźń, której podłożem jest wspólna zabawa. Dobrze spędzacie czas, świetnie jest wam ze sobą, ale głównym obiektem zainteresowania nie jest drugi człowiek, a chęć czerpania przyjemności z wykonywanej czynności. Czyjakolwiek obecność, towarzyszenie w wykonywaniu jakieś aktywności jest sprawą drugorzędną, mniej ważną niż sama czynność. Po jej zakończeniu nie zależy wam za bardzo na towarzyszu, ale doceniacie to, że z wami był. Mogą to być na przykład znajomości zawierane na różnego rodzaju kółkach zainteresowań czy zajęciach dodatkowych, które kończą się wraz z końcem kursu.

2. Przyjaźń, która pełni rolę strategicznej znajomości. To czy dobrze spędzacie razem czas jest uzależnione od innego czynnika, a mianowicie tego czy niesie za sobą osobistą korzyść. To rodzaj przyjaźni interesowej, która nie istnieje, jeżeli określone kryteria nie są spełnione. Idealnym przykładem będzie tutaj relacja szef-pracownik, gdzie zatrudniony angażuje się w relację ze zwierzchnikiem jedynie po to, by dostać awans czy podwyżkę. Jeśli po jakimś czasie prób to nie nastąpi, najprawdopodobniej relacja się zakończy.

3. Prawdziwa przyjaźń. Ktoś komu zależy na drugiej osobie na równi z samym sobą. Nie stawia warunków, troszczy się, a także staje się wsparciem niezależnie od sytuacji. Stanowi część życia danej osoby, wzmacniając ją. Przyjaciele współprzeżywają swoje radości oraz smutki, dbają o swój rozwój, rozwijając cnoty i wykorzeniając wady, ucząc się od siebie nawzajem. Odnalezienie takiej osoby to prawdziwy dar, dlatego też prawdopodobnie Arystoteles uważały ją za postawę, która tworzy ludzką wspólnotę oraz nadawała jej niewiarygodne znaczenie.

Najważniejszy temat wigilijnego stołu – polityka

Pomysł na państwo Arystotelesa, czego można się było spodziewać, znaczco odbiega od koncepcji Platona. Zdecydowanie sprzeciwia się on centralizacji, ujednolicaniu czy wprowadzaniu kobiet do polityki. Dokonuje on też podziału ustrojów politycznych na dobre (właściwe: monarchia, arystokracja oraz politeja) oraz złe (zwyrodniałe: tyrania, oligarchia, demokracja).

Czyli ustroj uważany w dzisiejszych czasach za jeden z najlepszych był krytykowany przez tak wybitnego myśliciela? Czy wszyscy są w błędzie? Wydaje mi się, że powodem, dla którego ludzie współcześni i antyczni filozofowie (Arystoteles nie był jedynym przeciwnikiem demokracji, zdecydowanie bardziej krytycznie na jej temat wypowiadał się jego nauczyciel – Platon) mają różne zdanie na temat demokracji wynika z tego, że w starożytnej Grecji społeczeństwo było znacznie bardziej podzielone. Często to, w jakiej grupie się ktoś znalazł, nie zależało od niego, co nie zmieniało faktu, że miał mniej praw oraz uznawano go za osobę podrzędną. Ten sposób postrzegania rzeczywistości w dzisiejszych czasach uważa się za uwłaczający godności ludzkiej.

Według Arystotelesa demokracja była ustrojem przegranym dlatego, że władzę miały osoby nieuczone oraz biedne, które nie umiały podejmować rozsądnych dla losów państwa decyzji. W związku z tym nazywał ją również rządami hien nad osłami, bo zakładał, iż władza będzie w rękach osób nieposiadających określonej wiedzy niezbędnej w zarządzaniu krajem. Nie negował on jednak elementu wolności. Opowiadał się on bowiem za politeją – mieszkanką demokracji oraz oligarchii. Ustroje polityczne tworzą się pod wpływem walki ludzi biednych i bogatych. Biedni mają władzę, gdy funkcjonuje demokracja, a bogaci – oligarchia. Politeja jest kolejną próbą odnalezienia złotego środka, oddając władzę w ręce stanu średniego, aby unikać skrajności.

Baby do garuw!!1!!!!1

Arystoteles miał bardzo kontrowersyjne przekonania na temat kobiet. Uważał je za podrzędne, gorsze od mężczyzn byty, stanowią one bowiem niepełną wersję mężczyzn i powinny być mu podległe, a prawdziwy mężczyzna powinien panować nad swoją małżonką w określonych dziedzinach. Co ciekawe jego zdaniem kobiety miały na przykład mniej zębów (mogę obalić ten mit, sprawdziłam). Obowiązkiem kobiety była troska o mężczyznę, ponieważ mężczyzna był lepszy od niej, to od niego przecież dziecko przejmowało duszę, znacznie ważniejszą niż nadawane przez matkę ciało. Zalecany wiek do zawarcia małżeństwa dla kobiety wtedy to przynajmniej 18 lat, a dla mężczyzn 37, co ukazywało jego wyższość nie tylko ze względu na, na przykład, jego większą siłę, ale też ze względu na to, że był od niej starszy. W antycznej Grecji osoby starsze otaczano szczególnym szacunkiem, co pogarszało tylko sytuację dziewczyny. Mąż miał też praktycznie nieograniczone prawo do zarządzania życiem małżonki, przez co była od niego zależna. Była wyłączona z udziału w życiu politycznym państwa, bo musiała zajmować się domem i dziećmi, a rozproszenie jej uwagi mogłoby doprowadzić do zachwiania się tego „naturalnego” porządku rzeczy.

Jego przekonania nie były poddawane zbyt dużej krytyce, ponieważ, niestety tak deprawujący pogląd stanowił raczej powszechnie przekonanie niż rewolucyjne odkrycie.

1600 słów o jakimś starcu

Arystoteles to postać, o której mowa na wielu przedmiotach szkolnych. Możemy usłyszeć to imię między innymi na fizyce, filozofii, etyce czy WOS-ie, tak naprawdę nigdy nie poznaając jego doktryny. Szkoła najczęściej pokazuje go wyłącznie z dobrej strony, ukazując zalety i mądro myśli. Wydaje mi się, że właśnie tutaj popełnia błąd. Poznanie postaci Arystotelesa zarówno od tej dobrej, jak również tej wątpliwej strony moim zdaniem zminimalizowałoby ryzyko tworzenia się w młodych umysłach autorytetów absolutnych. Pomaga to również w wyrabianiu swoich poglądów na określone tematy oraz inspiruje do przemyśleń na tematy nadal aktualne, bo myśl nie zna pojęcia czasu.

WIKTORIA KRASZENINNIKOWA

SYSTEM SZKOLNY W Finlandii

Wyobraź sobie, że zostawiasz w przeszłości dotychczasowy system edukacji, do którego jesteś przyzwyczajony. W tej chwili znajdujesz się w Europie Północnej, na zachodnim wybrzeżu Zatoki Botnickiej i południowym wybrzeżu Zatoki Fińskiej. Innymi słowy, jesteś w Finlandii. Opowiem ci o tym, jak od dzisiaj wygląda Twój system szkolny, a ty wpadniesz w wir nowych i sprzyjających okoliczności, jakie nagle się wokół ciebie pojawią.

Praktyka – tak potrzebna, a tak rzadka

W Finlandii zajęcia praktyczne bez podziału na płeć obejmują np. szycie, farbowanie tkanin, gotowanie lub stolarkę. Dzieci już w podstawówce bez problemu obsługują karty kredytowe, wiedzą, czym jest kontrakt, ile wynosi podatek dochodowy lub podatek od nieruchomości, albo umieją policzyć cenę określonego produktu, uwzględniając rabat.

W Polsce regularnie spotykamy się co prawda z zajęciami praktycznymi takimi jak wychowanie fizyczne lub ratownictwo medyczne. Za to jest duża różnica między regularnym podbijaniem piłki a systematycznym przygotowywaniem się do sytuacji, jakie mogą nas spotkać w codziennym życiu, takich jak podpisywanie umowy najmu, otwieranie konta w banku lub opłacanie rachunków za media – takie rzeczy zdecydowanie przydałyby się w formie praktycznej w szkołach. Jako osoba kształcająca się w Polsce – czy myślisz, że otrzymując dyplom maturalny, będziesz przygotowany/a do takiej „dorosłej” codzienności?

Te podobieństwa bywają tak różne...

Zaobserwowałam dwa podobieństwa między fińskim a polskim systemem szkolnym, o których warto wspomnieć.

Po pierwsze edukacja obowiązkowa trwa od siódmego do szesnastego roku życia, a więc tak jak w Polsce – 9 lat. Po drugie edukacja w Finlandii, jak i w Polsce jest bezpłatna, przy czym należy dodać, że nawet fińskie szkoły prywatne są wydatnie opłacane przez państwo. Tu warto zauważyć, że w Finlandii wszystkie podręczniki i przybory szkolne są w pełni opłacane przez rząd, podczas gdy polscy licealiści muszą sami kupić swoje książki.

Co nieco o samych nauczycielach, bo skądś się bierze ten najlepszy system edukacji na świecie...

Wyobraź sobie, że dzięki państwu, każdy z Twoich nauczycieli jest tak świetnie przygotowany do swojego zawodu, że jest to nielegalne, aby ktoś inny udzielał ci korepetycji – tak właśnie jest w Finlandii.

Od 2000 roku Finlandia utrzymuje nieoficjalny status najlepszego systemu edukacji na świecie – jest wiele czynników, ale ten jest po prostu kluczowy: wysokie opłacanie pracy nauczyciela przez państwo. To prawda, wiele ludzi żyje z założeniem, że świetne powodzenie w ich specjalizacji jest spowodowane naturalnym zamiłowaniem do danego zawodu – absolutnie nie zaprzeczę! Ale w dużej mierze, z racji tego, że jesteśmy ludźmi i naturalnie chcemy dostawać jak najwięcej możemy z racji wykonywanego zawodu, jeśli nasza praca będzie bardzo dobrze opłacana, to będziemy o wiele więcej dawać w zamian – będziemy się starać i będziemy mieli motywację do dalszego skutecznego działania. Odbiegając od tematu natury ludzkiej i wrodzonej żądzy posiadania, zawód nauczyciela pod względem społecznym jest postrzegany jako bardzo prestiżowa i szanowana specjalizacja. Powód tego jest m.in. taki, że w Finlandii częściej jest dostać się na pedagogikę niż na prawo lub medycynę.



©123RF

Nauczyciele edukujący dzieci i młodzież są więc najlepszymi z najlepszych – są przygotowywani do pracy w szkole pod względem merytorycznym, a ich nastawienie do młodych ludzi bazuje na nauczaniu ze spokoju, zrozumieniem i empatią. Patrzą więc na małe umysły indywidualnie i wspomagająco. Ważnym elementem, a nawet priorytetem w pracy fińskiego nauczyciela, jest zbudowanie z uczniem relacji opartej na wsparciu i ciepłe, które jest uczniowi gwarantowane ze strony nauczającego. W związku z tym uczeń zwraca się do nauczyciela po imieniu, a więc sztywna hierarchia międzyludzka osłabia się, podczas gdy partnerstwo rośnie w sile. Patrząc na samą pozycję nauczyciela w fińskiej szkole, staje się to coraz mniej zaskakujące, że Finlandia ma jeden z najlepszych i najbardziej efektywnych systemów szkolnych świata.

Patogenna rywalizacja wdrażana w codzienność

Na całym świecie wyścig szczurów wśród młodych ludzi staje się ważnym problemem społecznym – nie, nie chodzi mi o biegające szczury, lecz o jakąś dziką, zbiorową i nieświadomą rywalizację między rówieśnikami. Rywalizacja jest czymś zdrowym – pomaga nam określić siebie i swoje miejsce w grupie i społeczeństwie. Ale jest moment, w którym rywalizacja może stać się czymś destrukcyjnym lub najzwyczajniej niepotrzebnym.

W Twojej fińskiej szkole (a więc w przełożeniu – także wśród Twoich znajomych) panuje atmosfera równości. Powodów jest wiele, ale jednym z nich jest zupełny brak rankingu szkół. W Finlandii panuje założenie, że takie postępowanie wspomaga współpracę szkół oraz uczniów między sobą. Pożądana jest współpraca między uczniami od najmłodszych lat, a rywalizacja uznawana jest za coś szkodliwego.

Teraz jest moment, w którym przypominasz sobie wakacje tuż przed pierwszą klasą liceum, kiedy być może obawiałeś/aś się, czy przypadkiem szkoła, do której chcesz uczęszczać nie jest zbyt daleko w rankingu, a gdy znajomi pytali cię, do jakiej szkoły się zapisałeś, tobie przychodziły myсли, że pewnie zdali do lepszej...

Oceny i sprawdziany – spekulacje o ich istnieniu

Każda fińska szkoła ma własny system stawiania ocen, a więc system jest o wiele bardziej płynny i skoordynowany niż jeden ogólnokrajowy system. Warto by było zacząć od faktu, że w Finlandii oceny nie są pod żadnym pozorem formą kary dla ucznia. Istnienie ocen jest bezbolesne dla młodej osoby poznającej świat i uczącej się na błędach, a stawianie stopni jest realizowane wyłącznie w celu poinformowania samego ucznia, na co powinien zwracać więcej uwagi oraz w celu poinformowania nauczyciela, że należy uczniowi pomóc. Skala ocen ukazuje się w formie stopni od 1 – 10, w czym stopnie od piątego w górę są uznawane za pozytywne – nie zapominaj jednak, że ocena nie stanowi jakiekolwiek formy kary. Od 1 do 6 klasy podstawówki stosowane są zazwyczaj systemy opisowe sytuacji ucznia, a więc, w bardzo młodym wieku, w swojej szkole nie spotkasz się z niczym podobnym do tego, co było kiedyś. System liczbowy oceniania uczniów jest obowiązkowo wprowadzony od 7 do ostatniej klasy szkoły średniej. Młode osoby w Polsce, zwłaszcza te, które jeszcze uczęszczają do podstawówek oraz są bardziej wrażliwe i podatne na stres, powinny mieć przywilej bycia ocenianym

opisowo, a nie liczbowo. Myślę, że wprowadzenie takiego sposobu oceniania przez większość lat nauki do polskiego systemu szkolnego, byłoby bardzo korzystne i pozytyczne. W odniesieniu do sprawdzianów: wystepują. Są za to ograniczane do minimum przez nauczających, ponieważ w Finlandii sprawdziany uważane są za formę testu, która ogranicza kreatywność ucznia. W Finlandii nauczyciel ocenia i obserwuje rozwijające się umiejętności na podstawie aktywności młodej osoby na lekcjach, zajęciach grupowych czy podczas udziału w projektach.

Moim zdaniem założenie, że papierowa forma sprawdzenia wiedzy młodej osoby na przestrzeni lat ogranicza jej umiejętność do kreatywnego myślenia jest jak najbardziej trafna. Wiemy, że aktual

nie uczęszczasz do szkoły fińskiej i edukacja wygląda zupełnie inaczej niż w Polsce. Ale ostatnio Twoi rówieśnicy, którzy nadal mieszkają w Polsce, opowiadali ci, że jedyne testy, z którymi mają w polskiej szkole do czynienia to czarno-białe kartki z monotonnym tłustym nadrukiem. Kartki kładzione są przed nimi na drewnianych i sztywnych ławkach i przez całe 45 minut po ich głowach biega myśl, że mają coraz to mniej czasu na zrobienie każdego z zadań z osobna. Mówili też, że stresująca jest myśl, że w każdym momencie ich skupienie może przerwać głośny dzwonek i nagła prośba o odłożenie długopisu, który już im się już ślizga w ręce od napięcia.

Taki rodzaj sprawdzania wiedzy w polskich szkołach mógłby być zamieniony na właśnie większą ilość zajęć praktycznych, podczas których nauczyciel oceniałby postępy dziecka poprzez obserwację tego, jak młoda osoba radzi sobie od strony logicznego i rzeczowego myślenia, które potem rzeczywiście przełoży się na większą wiedzę o świecie i praktykę życiową – bo w tym w końcu ma nam pomóc szkoła, prawda?

Moje szybciutkie przemyślenia

Dużo naczytałam się na ten temat, i mam kilka wniosków. Myślę, że właśnie w takim systemie, młoda osoba nie podlega ścisłej kontroli na każdym kroku, za to jest aktywnie kierowana w dobrą stronę. To powoduje, że środowisko pozwala dziecku na naukę na własnych błędach oraz budowanie własnego doświadczenia życiowego i zrozumienia samego siebie lepiej. Jestem w stanie to zrozumieć i uważa, że wielu młodych ludzi mogłoby odnaleźć się, gdyby funkcjonowali w takim systemie szkolnym. Znam wielu ludzi, którzy uwielbiają samemu dochodzić do źródła problemu oraz uczyć się na własnych i swobodnych doświadczeniach, a nie cudzych i wymuszonych wymaganiach. Znaczna część młodzieży marzy o systemie, w którym mogliby swobodnie pracować i skupiać się na nauce bez stresu i bez ciągłego bycia ocenianym.

OLIVIA KARASH

OSCARY 2022

Ach, Oscary. Ta sięgająca prawie stu lat tradycja, która od dawna przyciąga uwagę kinomanów z całego świata. Niejedna zarwana noc, nie jeden uśmiech, złość, wzruszenia pojawiały się na twarzach widzów podziwiających twórców u szczytu kariery. Oscary z małej gali, którą były w 1928 roku w Hollywood Roosevelt Hotel z tylko 250-osobową widownią, zmieniły się w najbardziej prestiżową nagrodę filmową na świecie trafiającą do 55 milionów odbiorców (rok 1998). Ostatnia gala, mimo że nie zebrała takich wyników, na pewno zostanie zapamiętana na długi czas przez widzów samego wydarzenia oraz po prostu fanów kina, m. in. za znaczne pogorszenie rozwoju kariery Willa Smitha. Ale, nie warto uprzedzać faktów.

Nikogo nie zaskoczył fakt, że filmem, który zebrał najczęściej statuetkę, jest ekranizacja powieści Franka Herberta. *Diuna* w reżyserii Denisa Villeneuve'a zdobyła aż sześć nagród i, co ciekawe, brak wśród nich statuetki za najlepszy film. Nagroda trafiła za to do Hansa Zimmyera, autora muzyki do filmu. To już drugi Oscar dla kompozytora. Pierwszego otrzymał w połowie lat 90. za muzykę do *Króla lwa*. Doceniono przede wszystkim wartość wizualną *Diuny*. Statuetkę otrzymali twórcy efektów specjalnych (Paul Lambert, Tristen Myles, Brian Connor i Gerd Nefzer,), twórcy scenografii Patrice Vermette i Zsuzsnna Sipos), autor zdjęć – Greg Frazer oraz odpowiedzialni za montaż (Joe Walker) i za efekty dźwiękowe (Mac Ruth, Mark Mangini, Theo Green, Doug Hemphill i Ron Bartlett).

Najlepszym filmem okazała się *CODA* (reż. Sian Heder), co jest, przynajmniej dla mnie, ogromnym zaskoczeniem. To cekliwa i wzruszająca opowieść o głuchej rodzinie. Tylko jeden z jej członków słyszy, zatem musi sobie poradzić w sytuacji wyboru pomiędzy swoimi potrzebami a potrzebami rodziny. Co ciekawe, nie jest to oryginalna historia, a adaptacja francuskiego filmu z 2014 roku pt. *Rozumiemy się bez słów*, za co *CODA* również zgarnęła statuetkę (Najlepszy Scenariusz Adaptowany). Przyznanie tak prestiżowej nagrody temu dziełu budzi kontrowersje, ponieważ zgarnął wiele średnich ocen od krytyków oraz widzów. Nie budzi jednak wątpliwości przyznanie statuetki dla Troya Kotsura za najlepszą rolę drugoplanową. Nieważne jak bardzo komuś się podoba ten film, jak bardzo lubi oryginał i boi się kontrowersyjnej adaptacji, czy też jak bardzo po prostu nie ma ochoty tego filmu widzieć – dla samej gry tego aktora warto się przemóc.

Nagrodę w kategorii najlepszego aktorskiego filmu krótkometrażowego zdobył film *The Long Goodbye* (reż. Aneil Karia i Riz Ahmed). To krótka historia o małym miasteczku, do którego nagle trafia skrajnie prawicowy ruch i opowieść o tym, jakie zniszczenia tam spowoduje. Jak powiedział sam reżyser, to opowieść o tym, jak ważne jest, by nie było nas i was, byśmy byli tylko my. Na pewno bardzo ciekawy film, poruszający temat skrajnych ideologii w małych miejscowościach. Tylko czy sam temat nie jest nieco „przerzuty”? To już pozostawię państwa ocenie. Na pewno warto zobaczyć. Z ciekawostek dodam, że o statuetkę w tej kategorii walczył polski film Tadeusza Łysiaka – *Sukienka*, przez wielu uważany za dużo bardziej godny zwycięstwa.

Jako najlepszy krótkometrażowy film dokumentalny doceniony został film Bena Proudfoota *The Queen Of Basketball*. Opowiada o jednej z najlepszych koszykarek w historii, Lucy Harris, która szybko stała się fenomenem lat 70. Jako jedyna kobieta dostała się do męskiej ligi NBA, zdobyła 3 międzynarodowe trofea. Swego czasu była najlepszą koszykarką w Stanach i do teraz jest uznawana za najlepszą koszykarkę w dziejach tego sportu. Film opowiada o jej życiu, ale także porusza problem wykluczenia kobiet z „męskich” sportów. Forma filmu jest bardzo przyjemna, a sam film bardzo krótki, więc powinien być obowiązkową pozycją dla każdego fana sportu.

Zamykając już filmy krótkometrażowe, w kategorii najlepszego animowanego filmu krótkometrażowego wygrał *The Windshield Wiper*. Ta krótka, bo tylko 15-minutowa opowieść o miłości pokazuje wszystko, co może dać i zabrać poszukiwanie miłości, a także samą miłość w dzisiejszych czasach. Pokazuje romantyzm na warunkach znanych wcześniej, ale jeszcze nieopisanych ani niepokazanych w popkulturze. Ten film to w zasadzie podręcznik miłości, ale nie mówi, jak kochać, tylko czym miłość jest. Dla mnie jeden z najlepszych, jeśli nie najlepszy film obecnych Oscarów. Pozycja obowiązkowa dla każdego.

Oscara za najlepszy scenariusz oryginalny zdobył *Belfast* (reż. Kenneth Branagh). W pewnym momencie miasteczko Belfast staje się polem bitwy dwóch skrajnych frakcji walczących o przynależność Irlandii Północnej do Wielkiej Brytanii. Mimo tragicznych wydarzeń dookoła fabuła nie została przez nie zdominowana. Nie pozwala na to perspektywę małego dziecka, które nie do końca potrafi się nimi przejmować w takim samym stopniu, co swoją pierwszą, małą i bardzo słodką miłość. Chłopak radzi sobie z sytuacją dookoła, znajdując oparcie w rodzinie – silnej matce, zabawnym tacie i bardzo mądrych dziadkach. Zaślubiona figurka dla produkcji.

Miejscem, w którym pojawia się kolejna kontrowersja, jest nagroda za najlepszy film animowany. Statuetkę zdobyło *Moje Magiczne Encanto* (Jared Bush, Byron Howard, Yvette Merino oraz Clark Spencer). Opowiada o magicznym miejscu, które osłonięte przed całym światem wiedzie rajskie życie do momentu, w którym znika jego magia. Główna bohaterka, która jako jedyna z całej rodziny Madrigal nie została obdarzona żadną mocą, musi się zmierzyć z przepowiednią, mówiącą, że zniszczy własną rodzinę. Powoli, radząc sobie z własnymi problemami, pomaga i odsłania wcześniej przykrywane problemy całej swojej rodziny, pokazując, że oczekiwania oraz wyimaginowany ideał człowieka więcej psuje, niż daje. Cały film jest utrzymany w ciekawym stylu i bardzo radośnie, jakby trochę przykrywając przekaz. Skąd zatem kontrowersje? Czy film jest zły? Przeciwnie, jest bardzo dobry, tylko że w tym roku mieliśmy do czynienia z lepszymi albo bardziej wpływowymi filmami animowanymi. Choćby *Przeżyć* (reż. Jonas Poher Rasmussen), czyli historia Amina oraz jego rodziny zmuszonych do ucieczki z własnego kraju przez wojnę oraz życie w nieludzkich warunkach, utrzymana w bardzo prostym, ale zarazem bardzo dosłownym stylu animacji. Bardzo brutalna, ale nie dosłownie, bo nie pokazuje krwi, brutalna emocjonalnie, w ten sposób, że po wyjściu z seansu człowiek czuje się przerobiony do granic. Opowieść, jest arcydziełem, które w najbliższych czasach stanie się klasykiem. Warto też zauważyć drugi film, który by bardziej zasługiwał na statuetkę. To *Belle* (reż. Mamoru Hosoda), anime, które łączy Wschód z Zachodem. Współczesna wersja *Pięknej i bestii* za pomocą formy przedstawia Wschód oraz wschodnią animację, a treścią przedstawia Zachód oraz zachodni sposób myślenia. Wydaje mi się, że rekordowe 10 minut owacji w Cannes mówi samo za siebie.

Oscary za najlepszą rolę pierwszoplanową zdobyli Will Smith (*King Richard*) oraz Jessica Chastain (*The Eyes of Tammy Faye*). Za role drugoplanowe zostali nagrodzeni wcześniej wspomniany Troy Kotsur (CODA) oraz Ariana Debose (*West Side Story*), natomiast za najlepszego reżysera, a bardziej panią reżyser, uznano Jane Campion, nowozelandzką legendę, która zdobyła właśnie swojego drugiego Oscara za film (pierwszy otrzymał za *Fortepian* z 1994 r.)

Za najlepszą charakteryzację oraz najlepsze kostiumy nagrodzono *Oczy Tommy Faye* (Linda Dowds, Stephanie Ingram i Justin Raleigh) oraz *Cruelle* (Jeannine Beavan). Już od momentu wypuszczenia obu filmów mówiło się o zwycięstwie tych dzieł.

Najlepszą piosenką filmową ze statuetką *Best Original Song* zostało *No Time To Die* (Billie Eilish oraz Finneas O'Connell). Utwór z najnowszego Bonda, wieńczącego serię z Danielem Craigiem w roli głównej, doskonale wpasowuje się w świat przedstawiony w filmie oraz jest jego doskonałym dopełnieniem. Zdecydowanie zasłużony Oscar. Wygląda na to, że piosenki z tej serii mają szczęście do najwyższych filmowych odznaczeń. W 2013 roku nagrodzono inny utwór z Bonda – *Skyfall*.

Najlepszym filmem dokumentalnym w tym roku został *Summer Of Soul (Or, When The Revolution Could Not Be Televised)* autorstwa Ahmira „Questlove” Thomsena. Film opowiada o legendarnym dla Afroamerykanów festiwalu muzycznym z czarnymi muzykami dla czarnych fanów. Miał być manifestacją kultury oraz muzyki, a także symbolem własnej wolności. Materiały źródłowe nie były wcześniej nigdzie publikowane, są w pełni oryginalne oraz pełne energii z tamtych dni. Bardzo ciekawy oraz energiczny film, przy okazji dający do myślenia. Wskazuje ogromną rolę muzyki w odzyskaniu wolności dla czarnoskórych mieszkańców USA. Warto dodać, że film jest debiutem reżyserskim Thomsena.

Nagrodę za najlepszy film nieanglojęzyczny otrzymał film *Drive My Car* (reż. Ryūsuke Hamaguchi). Ten japoński dramat opowiada historię reżysera i aktora teatralnego, który po śmierci żony odkrywa tajemnice związane z ich związkiem. Nieodkryte sprawy, prawdopodobna zdrada oraz masa tajemnic została zabrana przez Oto (żonę Yosuke, głównego bohatera) do grobu. Wszystko to zostaje odsłonięte podczas drogi, gdzie samochód szoferki Yosuke staje się konfesjonałem wszystkich bohaterów i miejscem, w którym ukryte tajemnice zostaną odsłonięte. To japońskie arcydzieło było prawie pewniakiem od samego początku, na pewno zasługuje na nie tylko statuetkę, ale także na to, by każdy świadomy człowiek je obejrzał.

Cała gala została jednak zdominowana przez incydent z Chrisem Rockiem i Willem Smithem. Komik w niefortunny sposób zażartował z choroby żony Willa, Jade Pinkett Smith, która od lat zmaga się z alopecia, przypadłością atakującą mieszki włosowe. Chris Rock porównał jej fryzurę (aktorka jest całkowicie łysa) do Demi Moore, która w filmie *G.I.Jane* wystąpiła bez włosów. Will Smith podszedł do komika i uderzył go w twarz, by, potem gdy autor żartu próbował wybrnąć z sytuacji, wykrzyczeć mu w twarz wiele epitetów. W Internecie znalazło się wiele relacji, wiele filmików pokazujących całe zajście, warto do nich zatrzymać, by ocenić zachowanie aktora.

Dla Willa Smitha całe zdarzenie będzie bolesnym ciosem w karierze. Już teraz złożył rezygnację z miejsca w Akademii Filmowej. Jego kontrakty z Sony oraz Marvel Studio zostały przerwane, zaś Netflix wycofał się z produkcji z jego udziałem. Prawdopodobnie zobaczymy go jeszcze tylko w jednym filmie przez dosyć długi okres i to tylko dlatego, że zdjęcia do *Emancipation* zostały już skończone. To dosyć nietypowa sytuacja, kiedy kariera aktora, który dopiero zdobył Oscara, zamiera i przez pewien czas nie ma mowy o tym, by znowu ruszyła do przodu.

JERZY JASKÓLSKI

GREENBOOK

opowieść o nostalgicznych podróżach i rasowych stereotypach



Greenbook jest komediadramatem osadzonym w latach 60-tych XX wieku. Porusza temat problemów rasowych w Stanach Zjednoczonych i różnic klas społecznych w ówczesnych czasach. Film jest oparty na prawdziwej historii i opowiada o dwóch mężczyznach, którzy pozornie skrajnie różnią się od siebie, a jednak są w stanie zbudować niecodzienną, szczerą i głęboką przyjaźń. Mahershala Ali i Viggo Mortensen to dwaj znakomici aktorzy, którzy przedstawiają nam tę niesamowicie wciągającą historię.

Tony Lip Vallelonga (Viggo Mortensen), ochroniarz klubu nocnego Copacabana, jest pierwszym z dwóch bohaterów, których poznajemy. Pochodzi z nowojorskiego Bronxu i jest prostym mężczyzną włoskiego pochodzenia. Od razu rzuca się w oczy jego temperament i bezpośredniość. Kiedy z powodu remontu zostaje zamknięty klub, w którym pracuje i pojawiają się problemy finansowe, Tony stara się o pracę szefa. Na spotkaniu z potencjalnym pracodawcą dowiaduje się, że ma być kierowcą Dra Dona Shirleya (Mahershala Ali). To wykształcony, światowej klasy pianista. Potrzebuje kierowcy, który mógłby pojechać z nim na ośmiotygodniowe tournée ze Środkowego Zachodu do objętego segregacją rasową południa Stanów Zjednoczonych. Shirley to całkowite przeciwieństwo Toniego – jest wykształcony, elokwentny, wyrafinowany. I czarnoskóry. Tony to dobry człowiek o wielkim sercu, niestety z głęboko zakorzenionymi stereotypami na temat Afroamerykanów. Sprawia też wrażenie osoby prostej, trochę cwaniaczka, osiłka. Ale wszystko ma się zmienić... Tak rozpoczyna się ich podróż, w którą wyruszają z tytułowym Greenbookiem, małą zieloną książką, przewodnikiem dla czarnoskórych osób, informującym, gdzie mogą jeść i nocować.

Greenbook jest idealnym przykładem kina drogi. Obserwujemy, jak w trakcie długich tras pokonywanych samochodem, tworzy się więź między Tonym i Donem. Pokonując setki kilometrów, pokonują trudności, przełamują bariery, stereotypy, uprzedzenia i zwyciężają własne słabości. Pomagają sobie, poznają się i powoli budują przyjaźń, uczą się patrzyć na drugą osobę niezależnie od przynależności do klasy społecznej czy koloru skóry, co dla obu z nich jest bardzo zaskakującym doświadczeniem. Postać Shirleya dodaje filmowi sztyku i bogactwa. Po raz pierwszy widzimy go w jego bogato urządzonej mieszkaniu nad Carnegie Hall. Siedzący na tronie Shirley, ubrany w szaty i klejnoty, sprawia wrażenie osoby zadufanej w siebie, zarozumiałej i zmanierowanej. Ale Doc (bo tak nazywał go Tony) podczas podróży zaczyna powoli pokazywać swoją autentyczność i wrażliwość. Jak później się dowiadujemy, jego gruba powłoka i dystans były spowodowane wcześniejszymi, trudnymi doświadczeniami i problemami wewnętrznymi. Shirley czuje, że ugrzązł między dwoma światami. Społeczeństwo uważa go za „niewystarczająco czarnego i niewystarczająco białego”. Bogaci biali ludzie wykazują się dużą hipokryzją, bo jest dla nich na tyle wybitny, że mogą go słuchać, ale poza muzyką Shirley nie jest dla nich wystarczająco ludzki, żeby mógł korzystać z tej samej toalety co oni lub siedzieć z nimi przy wspólnym stole.

Film pozwala przeżyć wiele emocji, od śmiechu do wzruszenia i refleksji, a także – co najważniejsze – nie ociera się o patos. Mimo że ma bardzo głęboką fabułę i porusza trudne, ważne kwestie, to temat ujęty jest w lekki, zabawny i inteligentny sposób. Jest to efekt, który bardzo trudno osiągnąć. Peter Farrelly dotąd był znany ze współpracy reżyserskiej z bratem. Ich filmy (na przykład Sposób na blondynkę czy Głupi i głupszy bardziej) posiadały mało wyrafinowane poczucie humoru. Mimo to reżyser wykazał się wyjątkowym wyczuciem dramaturgii i wyrafinowanym stylem komedii sięgając po trudniejszy temat. Świeście poprowadził aktorów w jednej z ich najlepszych ról życiowych. W Greenbooku panuje niepowtarzalny klimat, wszelkie stereotypy są uwydatniane, ale w trafny i nieprzesadny sposób, obraz jest obiektywny i nie narzuca nachalnych przesłań moralnych. Film ma idealnie dobrane utwory muzyczne, które wprowadzają odbiorcę w historię bohaterów i atmosferę tamtych lat, a także autentyczne, pełne gier słownych dialogi i niewymuszone żarty sytuacyjne. Dzieło oceniono jako jedno z najlepszych wydarzeń filmowych ostatnich lat – w 2019 roku film zdobył pięć nominacji do Oscarów, a wygrał aż w trzech kategoriach. A ode mnie – film zajmuje wysokie miejsce w rankingu filmów mojego życia, do których zawsze wracam. Za Viggo Mortensena, w swojej najlepszej (brawurowej!) formie, za zdjęcia i muzykę, za inteligentny humor, za podróż za niejeden uśmiech, za wiarę w siłę prawdziwej przyjaźni.

IGA PIETRZAK





DREAM WIDOW

Dream Widow to deathmetalowe oblicze Foo Fighters, powołane do życia za Kolejne piosenki po „marszu szalonych” jeszcze bardziej wypychają nienajlepsze sprawą wydanego w lutym thrash metalowego singla *March of The Insane*. Wspomnienie Cold z głowy słuchacza. To Groovy riff otwierający *The Sweet Abyss*, Kawałek zaskoczył fanów nie tylko Fightersów, ale i wielbicieli cięższego prosiącego się o śpiewanie pod prysznicem refren *Angel With Severed Wings* i równie grania, biorąc pod uwagę fakt, że Foo Fighters wybili się – nie licząc faktu, że śpiewne *Come All Ye Unfaithfull* zakończone dramatycznym uderzeniem w struny wokalisty grał wcześniej w Nirvanie – na przebojach pokroju *Everlong*, a nie na harfy. Od właśnie tego momentu, dotychczas bardzo szaleńczy i imprezowy vibe czymś, co przedstawia właśnie ów singiel. Panowie pod koniec marca ponownie albumu diametralnie się zmienia dzięki *Becoming* – ponad siedmiominutowej uderzyli we wszystkich zainteresowanych zjawiskiem Dream Widow, płytą kompozycji, która za sprawą agonalnych growłów, chórów i wolniejszego tempa nazwaną tak jak nazwa zespołu. Prosta, typowo metalowa okładka, jeszcze hipnotyzuje słuchającego, nie pozwalając mu kliknąć przycisku next w celu bardziej stereotypowe logo, sodomiczne i ociekające krwią teksty odwzorowania następnej pozycji. Z kolei, gdyby odbiorca mimo wszystko dotknął wywrzaskiwane przez Dave'a Grohla to tylko część cech, które pomagają płycie trójkąta wskazującego w prawo, jedynie przyspieszyły nadziejście *Lacrimus dei Ebrius*, wpasować się w kanony piękna gatunku. Otwierająca album grindcore'owa kompozycja *Encino* stanowi idealne spełnienie powiedzenia, że najważniejsze jest pierwsze wrażenie. Utwór, pomimo zaledwie półtorej minuty trwania, zaskarbia sobie sympatię słuchacza za sprawą wyciągającego duszę z ciała bridge'a i zaskakuje jak daleko od swojej strefy komfortu odeszli Foo Fighters, przybierając maskę Dream Widow. *Encino* ratuje sytuację, ponieważ następny numer *Cold*, chcąc, nie chcąc, poprzez swoje znacznie inne, bardziej mozolne brzmienie jest definitelynie słabszą partią na płycie. Drugim minusem tej kompozycji jest jej niefortunna pozycja na albumie Zaraz po niej umieszczone zostało trashowe *March of The Insane*, które – wydane wcześniej jako singiel – rozgrzało i zaciekało publicę. Tym, że „facet od nirvany” nagle wziął się za

które już samo w sobie kusi swoim tytułem po łacinie. W przypadku tego numeru warto się przyjrzeć środkowej jego części, gdzie spokojne jak ocean partie gitary akustycznej zastępują ich przesterowane odpowiedniki, nadając gracji całej, dziesięciominutowej kompozycji. Można uznać to za duży plus dla całości i idealne jej zwieńczenie. Album owszem, zaliczył parę, pojedynczych potknień jak np. właśnie *Cold* umieszczony po grindcore'owym *Encino* czy dynamiczny riff w trzeciej minucie *Lacrimus dei Ebrius* niemalże ściągnięty od piosenki Doyle'a pt. *Abominator*. Mimo wszystko te wpadki niespecjalnie wpływają na odbiór całości. Dave Grohl i spółka zademonstrowali, że mur pomiędzy ganiem radiowego rocka, a tworzeniem metalu można zgrabnie przeskoczyć. Owa maska Dream Widow zdaje się pasować idealnie na twarz Foo Fighters. W skali 1/10 „wymarzona wdowa” bezkompromisowo powinna dostać 9. metal i nie jest to złe.

LEONARD MAKSYMILIAN

GUNS N'ROSES

20 czerwca 2022. Piski fanów słyszalne na kilometry. Jedni sentymentalni, doświadczają spełnienia marzeń ze swoich młodszych lat. Inni za to spełniają te teraźniejsze, być może nowopowstałe. Oczywiście zostaną jeszcze ci, którzy przyjdą na Stadion Narodowy tylko po to by zobaczyć co się dzieje i brać udział w sensacji. Każdy powód jest jednak dobry, gdy zespół, który zpisał się na kartach historii muzyki jako legenda, przyjeżdża niemal pod twoje drzwi. Guns N'Roses przyjadą do Polski po raz czwarty. Włączasz pierwszą losową piosenkę, trafiąszy na *Welcome to the jungle*. To, co od samego początku bije od tego utworu, to przede wszystkim siła. Piosenka może porwać cię w taki sposób, że aż chwytasz kij od szczotki do zamiatań, która teraz imituje swoją gitarę. Ty stajesz się szaloną gwiazdą rocka na następne 4 minuty i 23 sekundy. Nie ważne skąd pochodzisz, kim jesteś, ulegasz dźwiękom amerykańskiego zespołu. Nikt jednak takiej mocy po Guns N'Roses się nie spodziewał, a wręcz na samym początku skład w oczach otoczenia nie miał realnej przyszłości. Traktowani jak „każdy inny” zespół rockowej sceny Los Angeles lat 80. mieli wtopić się w tłum i nie wychylać, potem upaść i popaść w niepamięć. Patrząc na chaotyczną historię kapeli, nie można się tym osądom dziwić. Izzy Stradlin i William Rose przybywają do L.A, a właściwie uciekają w strachu przed swoją przeszłością i potencjalną odsiadką w więzieniu. Właściwie od razu zaczynają działalność muzyczną. Rok 1983. Rose dołącza do zespołu *Rapidfire* – przed nim pierwsze koncerty oraz pierwsze demo zatytuowane *Ready to rumble* oraz dosyć szybki rozpad kapeli. Chwilę później wokalista przeżywa swój epizod w *L.A Guns*, po czym utworzony zostaje zespół *Axl*, którego nazwa przemieniła się w Rose, a następnie Hollywood Rose. Warto wspomnieć, że William zmienił swoje imię inspirując się zespołem, nieodwrotnie. W tym momencie właśnie Axl połączył swoje muzyczne siły z Izzym Stradlinem. Hollywood Rose jednak podzieliło losy podobnych zespołów – gdy Stradlin odchodzi, wszystko zaczyna się sypać. Na krótką chwilę kapelę zasila Slash oraz Steven Adler. Mimo obiecującego składu w 1984 zespół rozpada się, gdyż Axl podejmuje decyzję o powrocie do L.A Guns.

Jednak nie na długo

Już w 1985 roku powstaje idea utworzenia zupełnie nowej kapeli. Wspominani już nie raz Axl Rose i Izzy Stradlin zaczynają grać w towarzystwie trzech innych muzyków, którzy jednak szybko wykruszają się. Do zespołu dołącza Duff McKagan i przyprowadza ze sobą perkusistę oraz gitarzystę – jak się okazało byli to już znani pozostały członkowie Steven Adler i Slash. Sława Guns N'Roses stopniowo zaczęła wzrastać. Wielu producentów jednak nie chciało angażować się we współpracy przez wyczulawną przy zespole „narkotyczną aurę”. Po czasie jednak, największą determinacją i odwagą wykazał się zafascynowany chłopakami Tom Zutaut z wytwórni Geffen Records. Doprowadził on do podpisania kontraktu w 1986 roku, a managerem przyszłych gwiazd rocka został finalnie Alan Niffen. Mimo wątpliwości rozpoczął promocję zespołu. 21 lipca 1987 roku ukazał się album *Apetite for Destruction*. Z początku przepadł na liście przebojów *Billboard 200* i dopiero po miesiącu ledwo udało im się zdobyć (naprawdę niskie) miejsce we wspomnianym notowaniu. Nagle jednak wydarzyło się coś niezwykłego. W lutym 1988 roku „gunsi” zagrali razem z zespołem Great White w nowojorskim klubie The Ritz. To być może dosyć niepozorne wydarzenie muzyczne stanowiło most prowadzący do ich wielkiej popularności. Występ zarejestrowany i wyświetlony został w *MTV*. Tam spotkał się z ogromnym zainteresowaniem i entuzjazmem słuchaczy, podczas gdy wcześniej stacja telewizyjna notorycznie unikała wyświetlania klipów kapeli. Po koncercie wspomniany już album *Apetite for Destruction* zdobył serca słuchaczy i pokrył się złotem, a kariera G'N'R ruszyła z niesamowitym tempem. Oczywiście, po raz kolejny pojawiły się głosy, które na celu miały obniżyć morale grupy, muzycy jednak nie przejmowali się tym i cały czas wzbijali się coraz wyżej, trochę zamknęci w swoim świecie. Utwór *Sweet Child o'mine* zdobyła szczyt rankingu *Billboard 100*, a sama płyta wkrótce otrzymała tytuł najlepiej sprzedającego się albumu w historii.

Mimo zawirowań, tak właśnie rozpoczyna się wieloletnia sława Guns N'Roses i trwa ona do dziś. Piosenka się kończy, a ty siadasz na kanapie ze zmęczeniem, ale i uśmiechem na ustach.

MAJA PACIEJEWSKA

JUŻ TO GDZIEŚ SŁYSZAŁAM

Każdy z nas ma inny gust muzyczny. Generacja Z jest idealnym przykładem tego, że można słuchać wszystkiego. To często mieszkańców hip-hopu, muzyki klasycznej, alternatywnej i popu. Oprócz gustu muzycznego większość (bo już nie każdy) ma Tiktoka. Tę niesamowitą platformę do nagrywania śmiesznych filmików. To pożeracz czasu, który wyrywa z życia na parę godzin. To tu tworzą się hipnotyzujące młode pokolenie trendy taneczno/muzyczne. Do bazy aplikacji wpada ogromna liczba piosenek. Znajdują się tutaj polskie hity, oczywiście większość z nich to polski rap. To obecnie gatunek, którego nawet jeśli nie słuchasz lub nie śledzisz, to wiesz, co się w nim dzieje. Wiesz, kim jest Mata. Wiesz, kto sprzedaje w sklepach batony i kto twierdzi, że coś jest lekką kraksą. Trafiające tu piosenki zostają zapętlone w jednym momencie. Oczywiście istnieje możliwość ich przewinięcia, ale skoro wszystko jest podane na tacy i wystarczy kliknąć jeden przycisk – po co to robić? Najczęściej jest to refren lub zupełnie losowy moment wybrany zazwyczaj w środku piosenki. Skoro masz już wybrany pokład, wystarczy nagrać filmik. Wrzucasz go do Internetu, powtarza to po tobie masa osób. Scrollując filmiki, zorientujesz się, że co drugi z nich będzie tym, którego podkładem będzie owa piosenka. I oto, piosenka stała się hitem i tiktokowym trendem! To ten czas, kiedy do głowy wpadnie Ci melodia, ty zacznesz ją nucić, a następnie dodasz ją na Spotify'u lub Tidal'u. Tak stało się między innymi z *Rozmazaną Kreską*, *Kiss Cam'em* lub *Sebiksami*.

No i co? Niech będzie trendem. Każdy użytkownik ma prawo swobody na aplikacji, może robić z daną piosenką co chce. Czasem piosenka nie staje modna z przypadku. Sam artysta przygotowuje pod nią układ taneczny. Promuje ją na Tiktoku, bo wie, że tam skupia się jego największa grupa odbiorców, która popchnie to dalej. To przemyślany krok. Nie można powiedzieć, że jest on nowatorski, bo zagraniczni artyści popchnęli promowanie swoich singli w taki sposób jeszcze przed czasami świetności Tiktoka, ale za czasów Musical.ly. Kiedy jednak piosenka nie jest przemyślaną promocją i wybija się „od tak” artysta może zostać postawiony pod presją bycia tym, który wyznacza trendy. Jego kolejne single są często bardzo zbliżone brzmieniowo do tego, który wybił się wcześniej, aby ponownie podbić rekordowe liczby wyświetleń i odsłuchów na aplikacjach streamingowych. Na pewno wtedy nie wydaje się to takie sztuczne jak w przypadku wymyślanych tańców (znane *Szklanki*, które młodzież tańczyła pod Złotymi Tarasami, albo układ do *ULALA*). Artyści właśnie na tym się wybijają. Może niektórzy artyści nie osiągneliby tak dużo, gdyby nie te kilkanaście sekund sławy. Znany jest z tego przede wszystkim Żabson, który do większości piosenek wymyśla układ taneczny, który promują wpierw jego przyjaciele-tancerze, a następnie słuchacze (najpopularniejszym w ostatnim czasie jest taniec do piosenki *Robotniczy Trap*). Gdyby spytać się większości użytkowników, kim jest Kinny Zimmer, nowy raper w szeregach SBM Label – odpowiedzieliby, że nagrał piosenkę *Rozmazana Kreska*. Gdybyśmy powiedzieli, że go nie kojarzymy, zapewne spytaliby się czy znamy fragment krążący po Internecie zaczynający się od wersu „dziś 5 gwiazdek oraz ja młody Hilton...”

Gdybyśmy przyjrzeliby się temu zjawisku od strony odbiorcy to można w skrócie stwierdzić, że dla ich osoby to czy singiel jest akcją promocyjną i specjalnie został popchnięty przez artystę w *mainstream*, czy też piosenka ot tak zaczęła pojawiać się na ich proponowanej stronie wcale nie robi dla nich większej różnicy.

Nagrają ją, bo dostaną za to wyświetlenia, parę like’ów i w dodatku ich ulubiony artysta zrepostuje ich na swoim Instastory. Niektórzy będą słuchać tej piosenki na co dzień, bo jest dobra i wpada im w ucho. Inni zapiszą ją, ale zaczekają tylko na swój ulubiony moment, a następnie powracają do bardziej faworyzowanych przez siebie piosenek. Idealnym przykładem, aby doświadczyć tego, że jeden fragment znany z Tiktoka ma przewagę nad resztą całej piosenki, jest warm-up przed koncertem. W czasie, kiedy *Rozmazana Kreska* górowała nad innymi hip-hopowymi numerami, miałam okazję być na dj-secie przed koncertem Young Loesi na Torwarze. Masa ludzi, znajoma piosenka, cisza. Każdy przygotowuje się na wyspiewanie jednego momentu. Kiedy on nadchodzi Torwar natychmiastowo wypełnia się śpiewem ludzi wersu wspomnianego przeze mnie wcześniej. Wszyscy byli na to idealnie przygotowani. Trendowane piosenki są hipnotyzujące nie tylko dla posiadaczy Tiktoka. Sama osobiście go nie posiadam, ale inne media społecznościowe artystów chętnie odsyłają nas na ich tiktokowe profile, zachęcają do tańczenia i nagrywania filmów z lecącym w tle kawałkiem utworu. Nie skupiasz na tym uwagi, bo i tak tego nie nagrasz. Jednak towarzyszy Ci z tyłu głowy myśl, że znasz ten dokładny fragment bardziej pozostałą część piosenki. Tu idealnym przykładem będzie nowy singiel Okiego – *Jeżyk*. Słuchałam go dosłownie parę razy, ale fragment, do którego artysta просi fanów, aby nagrywali filmiki, krąży mi cały dzień po głowie.

Wybijanie się piosenek nie jest niczym złym. Żyjemy w czasach, gdzie wszystko potrafi wejść na wyższy szczebel w zawrotnym dla człowieka tempie. Zjawisko wybijania się singli poprzez trendy taneczne i przez ich kilkunastosekundowe momenty sławy, staną się niedługo dla wszystkich standardem. Nikogo nie będzie dziwić, że ktoś do tego tańczy. To po raz kolejny analiza ludzkich zachowań i tego, co dzieje się w świecie muzyki. Możemy o tym dyskutować godzinami, bo temat jest obszerny. Każdy ma inne zdanie i opinię. Każdy ma zupełną swobodę z tym, co robi i jest to zupełnie w porządku. Jeżeli lubicie tańczyć, tańczcie. Śpiewajcie i dobrze się bawcie. Po to przecież jest muzyka.

NATALKA WALESIENIUK

NIETYPOWE TAŃCE ŚWIATA

Obecnie wyróżniamy podstawowe formy tańca, takie jak balet, hip-hop, cha-cha czy tańce ludowe. Ostatnio coraz częściej słyszy się o trochę bardziej nietypowych, lecz wyjątkowych formach tanecznych. Po natrafieniu na reklamę chińskich występów *Shen Yun Performing Arts* zaczęłam się zastanawiać, jak jeszcze inaczej ludzie interpretują sztukę tańca?

Taniec z wachlarzami

Wachlarz to nie tylko piękny dodatek dla kobiety, lecz także tajemna broń. W kulturze wschodniej służył w walkach np. podczas bitwy na równinie Kawanakajima. Istnieje też pewna chińska legenda, według której za pomocą wachlarzy kurtyzany – mordowały mężczyzn. Obecnie sztuki walki połączone z muzyką *Tai-Chi* oraz szczyptą tańca współczesnego tworzą choreografię taneczną, która ma walory kulturowe. Subtelność ruchów połączona z precyzją wschodnich sztuk walki pozwala młodym dziewczynom wyzwolić ich kobiecość i wewnętrzną moc, która głęboko w nich drzemie. Jeśli ktorąś z dziewczyn pragnie wyzwolić swoją wewnętrzną siłę i odnaleźć harmonię ciała, jest kilka placówek, które organizują zajęcia z tańca z wachlarzem m.in. Pałac Kultury Śródmieście. Co ciekawe, w Azji istniały różne odmiany wachlarza bojowego, które przydzielano danej randze wojskowej. W Japonii istniały dwa warianty tej broni – *tetsu-sen*, czyli składany wachlarz w metalowej okładce, przysługujący niższym oficerom oraz *gunbai-uchiwa* (in. *gunbai-dansen* lub po prostu *gunbai*) składający się z metalowej płytki na trzonku, przydzielonej oficerom wyższej rangi. W Chinach istniały sztywne wachlarze zwane *uchiwa*, który był płytka w kształcie serca, dyni lub prostokąta z rogami ze sztywnej skóry. Takie wachlarze, bogato zdobione wzorem słońca, księżyca lub gwiazd z konstelacji Wielkiego Wozu należały się tylko oficerom najwyższej rangi.



Za jego twórców uważa się lud celtycki. Wyróżniamy przede wszystkim takie formy taneczne jak: *reel*, *hornpipe*, *step dance*, *polka* oraz *jig* (posiadający jeszcze wiele odmian zależnych od metrum i obuwia np. *light jig* lub *single jig*). W XIX wieku irlandzkie wioski organizowały pierwsze konkursy taneczne, w których nagrodą było duże ciasto dla zwycięskiego zespołu. Obecnie występy artystów możemy obejrzeć w show *Riverdance*, które wykorzystuje elementy kultury celtyckiej, włączając do swoich występów pieśni, stroje i legendy. Jedną z charakterystycznych form tego tańca jest *step irlandzki*, który polega na wystukiwaniu wszystkich uderzeń do wykonywanego rytmu. Jest wykonywany solo (jedna osoba) oraz w formie setowej (para choreografów tańcząca naprzeciwko drugiej pary albo dwa szeregi tańczących naprzeciwko siebie tancerzy). Do tego tańca używa się specjalnych butów, które posiadają obcas i klocek (mały drewniany element znajdujący się w przedniej części podeszwy buta). Nierazko też najważniejszym elementem tańca była scena. Aby uzyskać twardą powierzchnię dla lepszego wystukiwania kroków, ludzie wyważali drzwi i kładli je na ziemi. Scena była też bardzo mała, co wyjaśnia dlaczego we współczesnej wersji, rzadko jest używany ruch ramion.

Pole dance

Wielu osobom może się źle kojarzyć ta forma tańca, głównie przez filmy i seriale westernowe, jak *Cimarron Strip*, lub te przeznaczone dla dojrzałej publiczności. Jednakże warto zaznaczyć, że pole dance nie jest striptizem, o czym powie każdy, kto choć przez chwilę miał styczność z tą formą tańca. Pole Dance zalicza się do dyscypliny sportowej, choreografia zawiera w sobie elementy fitnessu, akrobatyki oraz dowolnego stylu tanecznego, raczej nie posiada zabarwienia erotycznego. Artyści wykonują dowolną serię obrotów, figur i przejść na drążku, a także mogą dodać serię kroków tanecznych na podłodze w zależności od wybranego przez siebie stylu. Początki tańca na drążku są zawsze trudne i nierazko kończą się małymi siniakami na ciele, jednakże czas poświęcony ćwiczeniom i dobre odżywianie zaowocuje satysfakcją z wykonanej przez siebie pracy. Dodatkowo przy ćwiczeniu pole dance'u wzmacniają się mięśnie całego ciała, co pozwala wymodelować i ujędrnić sylwetkę, a także wyrobić kondycję. Jest to cudowna zaleta, jeżeli szukamy szybkiej i skutecznej metody na zrucenie wagi czy zbudowanie sylwetki, a jednocześnie chcemy wyzwolić nasze prawdziwe „ja”. Szereg możliwości i adrenalina towarzysząca podczas wykonywania akrobacji sprawia, że łatwo jest się zakochać w tańcu pole dance.



Wali i Bebeli



Są to tradycyjne tańce balijskie o charakterze sakralnym i religijnym. To nieodłączny element kultury mieszkańców. Dawniej owa forma tańca służyła do dokumentowania i opowiadania wydarzeń historycznych jeszcze przed pojawieniem się pisma. Wali jest wykonywany tylko w świątyniach podczas ważnych świąt i wydarzeń. Artyści uprawiający tę formę tańca wprowadzają się w trans, co pomaga im nadać większej płynności ruchu i czerpać natchnienie z opowiadanej historii. Z kolei bebeli są małymi przedstawieniami teatralnymi opowiadającymi przygody balijskich bóstw i demonów. Obydwa z tych tańców mają za zadanie zabawiać balijskich bogów lub odstraszać demony. W obydwu przypadkach Balijczycy są szkoleni do tych tańców od dziecka, dodatkowo własnoręcznie szyją sobie kostiumy i tworzą rekwizyty. Podczas występów artystom towarzyszą muzycy grający na instrumentach zwanych gamelan. Jest to zestaw bębnów i gongów, które mogą być zawieszone na specjalnych ramach lub są ułożone na podłodze. Muzycy używają również specjalnych pałek, młotków, instrumentów dętych i strunowych. Oprócz tych dwóch form istnieje jeszcze bardziej powszechny taniec świecki, który ludzie swobodnie tańczą w hotelach i na ulicach miasta.

Taniec na szarfie

Marzyliście kiedyś, żeby unosić się w powietrzu niczym ptak? Ta forma tańca spełni wasze oczekiwania. Owszem, trzeba mieć trochę siły i trochę się nagimastykować, żeby wyczyniać akrobacje na szarfie. Tak jak pole dance, taniec na szarfie zalicza się do akrobatyki powietrznej. Podobnym do tańca na szarfie jest joga powietrzna, która włącza akrobacje na hamaku lub przy użyciu koła albo ringu. Jedną z reprezentantek akrobatyki powietrznej w Polsce jest Jagoda Lasota, legniczanka, która w 2019 roku zdobyła złoty medal na mistrzostwach świata w akrobatyce w Pradze.



KASIA WINIARZ

Flamenco a wizerunek współczesnej kobiety

Czym jest flamenco?

Flamenco to hiszpańskie zjawisko kulturowe oraz gatunek muzyczny, który poza związanymi z nim tradycjami obejmuje śpiew, strój, ale przede wszystkim taniec. Zjawisko to rozwinęło się na południu Hiszpanii, a dokładniej w Andaluzji na przyjęciach i prywatnych spotkaniach odbywających się w cygańskich domach. Z czasem jednak zaczęło wychodzić z zamkniętych kręgów w postaci tańca. W latach dwudziestych XX wieku, flamenco wdarło się na sceny i do teatrów. Wtedy narodził się znany Hiszpanom wzór mistycznej tancerki w czerwonej, kropkowanej sukni.

Czy flamenco jest synonimem zmysłowości?

Taniec flamenco kojarzy się przede wszystkim z wyjątkowo zniewalającym, zmysłowy i niezwykle wyrazistym płaszcem kobiet, chociaż może również być wykonywany przez mężczyzn. Taniec męski jednak znacznie różni się od kobiecego. Podczas gdy mężczyzna skupia się na ostrym zarysowaniu swoich ruchów, podtrzymując surową i dumną postawę ciała, kontrastującą z kobiecą delikatnością, u kobiety najważniejsza jest płynność i moc ruchów wykonywanych całym ciałem, które dodatkowo podkreśla charakterystyczny strój. W nielicznych odmianach flamenco, mężczyzna może pojawić się na scenie wraz z kobietą. Odgrywają oni wtedy oddzielne role. Kobieta jest główną postacią i jest obiektem zalotów tańczącego wokół niej mężczyzny. Jednak w przeciwieństwie do większości tańców, flamenco w czystej postaci jest prawie wyłącznie tańcem solowym, w tym głęboko indywidualistycznym. Tancerze nie potrzebują partnera, ani nawet publiczności, ponieważ tańczą głównie dla siebie, aby czuć.

Barwne falbany

Nawet ci, którzy nie interesują się tańcem, z łatwością rozpoznają strój *faralaes*. Barwna i pełna przepychu suknia tancerki z ogromną ilością falban, sprawia, że każdy ruch jest dodatkowo podkreślany, a oczy publiczności skierowane są wyłącznie na tancerkę. Kobieta uwodzi w tańcu. Zarówno strój, jak i jej ruchy sprawiają, że przypomina ona dzieło sztuki.

Flamenco w odwołaniu do sztuki

Flamenco można porównać do wielu dziedzin sztuki lub nauki, m.in do teatru, gdzie kobieta stoi na środku sceny, a aktorzy i fabuła stanowią atrakcyjne tło, które ma tylko spotęgować artystm występu. Jest ona na pierwszym planie, a wszystko co dzieje się wokół niej jest zaledwie ozdobą.

Flamenco można również porównać do astrologii, w której kobieta niczym słońce, rozświetla całą scenę, całą galaktykę, a wszystko inne, niczym planety, krąży wokół niej. Tancerka flamenco wychodząc na scenę emanuje bowiem zmysłowością, temperamentem, ale jednocześnie zdecydowaniem. Te cechy coraz częściej stają się modelem dla współczesnych kobiet dążących do niezależności, samodzielności i dumy z tego, kim są i co robią. Można więc śmiało stwierdzić, że flamenco jest zjawiskiem zgodnym ze współczesnymi nurtami w szczególności obecną postawą kobiet.

KAROLINA OSTOJA OSTASZEWSKA

KRAINA SKUTA LODEM JAKUCJA

WYWIAD Z DR KYUNNEY TAKASEVĄ

Jakucja, nazywana przez jej rdzennych mieszkańców Republiką Sacha, to niesamowite miejsce. Zimą można się tu zmierzyć z najzimniejszą pogodą na Ziemi, a latem z falą gorąca. Życie ludności tam mieszkającej jest niezwykle fascynujące nie tylko pod względem warunków naturalnych, ale także ze względu na wierzenia oraz odrębną kulturę tego miejsca. O tak ciekawej krainie zgodziła się nam opowiedzieć DR KYUNNEY TAKASEVA (Künnej Takaahaj – w języku Sacha), koordynatorka polsko-syberyjskiej grupy badawczej na Wydziale Artes Liberales Uniwersytetu Warszawskiego, która swoje dzieciństwo spędziła właśnie w Jakucji.

JAKUCJA TO TERENY O NIEZWYKŁYM KLIMACIE – W TYM MIEJSCU ODNOTOWUJE SIĘ NAJNIŻSZE TEMPERATURY NA TERENACH STALE ZAMIESZKANYCH PRZEZ CZŁOWIEKA. CZY MOGLĄBY PANI OPISAĆ NAJTRUDNIEJSZE WARUNKI, Z JAKIMI MUSIAŁA SIĘ PANI ZMIERZYĆ?

Przypomina mi się 2018 rok, kiedy pojechałam do Ojmiakonu – właśnie tam, gdzie odnotowano najniższą temperaturę na świecie. Było to -62°C. Możecie sobie wyobrazić? I to właśnie była najzimniejsza pogoda, jakiej doświadczylem. Zaproszono mnie tam wtedy w ramach projektu dla dzieci ze szkoły ojmiakońskiej. Kilka wydarzeń musiało się odbyć na zewnątrz. Między innymi postawienie nowego pomnika. Przedstawał on byka, który dla Jakutów jest symbolem zimna. Na zewnątrz odbyła się także najzimniejsza dyskoteka na jakiej byłam (śmiech). Zimno jednak nikomu nie przeszkadzało w normalnym życiu.

WSPOMINAŁA PANI O SZKOLNYM PROJEKCIE W OJMIAKONIE. NA CZYM ON POLEGAŁ?

Był to projekt, w którym dzieci miały możliwość narysowania zmian klimatycznych. Były punkt widzenia osób mieszkających właśnie na biegunie zimna. Związane było to także z mitologią Sacha. W naszej mitologii jest takie bóstwo: duch zimna. Nazywa się on Chyschaan, czyli władca zimna. Jest popularny w Jakucji, dlatego wymyśliłam taki projekt. Chciałam, aby dzieci stworzyły komiksy o władcę zimna i globalnym ocieplaniu. Z tych komiksów powstała książka, która była wydana w Warszawie. Jest napisana w języku Sacha z tłumaczeniem na angielski.

JAK PANI SOBIE RADZIŁA Z KLIMATEM JAKUCJI? CZY PANI RODZINA MIAŁA JAKIEŚ SPRAWDZONE METODY?

Na te najzimniejsze temperatury najważniejsze są suche i porządne ubrania. Tradycyjnie ubierano się w futra, jednak w teraźniejszości powoli tracą one popularność. Kiedy byłam w Ojmiakonie, starałam się ubierać tradycyjnie. Miałam grube futro, futrzane kozaki nazywane untami, czapkę uszankę oraz komin, który zakrywał wszystko oprócz oczu. Było mi bardzo ciepło. Latem także nie można zapomnieć o porządnym butach, ponieważ pomimo cieplej temperatury powietrza, powierzchnia Jakucji nadal pozostaje skuta lodem, czyli wieczną zmarzlino.

JAK WIADOMO KLIMAT NASZEJ PLANETY SIĘ OCIEPLA. CORAZ TO WIĘCEJ MIEJSC ZMAGA SIĘ Z NASTĘPTSTWAMI GLOBALNYCH ZMIAN KLIMATYCZNYCH. CZY WRACAJĄC MYŚLAMI DO PRZESZŁOŚCI, WIDZI PANI ZMIANY RÓWNIEŻ W SWOJEJ OJCZYŹNIE?

Myślę, że to poważny problem, który również dotyczy Jakucji. Zeszłego lata, dokładnie w czerwcu, byłam tam w ramach zorganizowanej olimpiady jakuckich gier sportowych.



©MAX AVIDEEV

Niestety ten czerwiec był okropny dla republiki z powodu globalnego ocieplenia. Latem było strasznie gorąco i sucho, co powodowało pożary – paliła się tajga. Był to problem na ogromną skalę. Już od jakiegoś czasu owe zmiany zauważają także miejscowi, mówi się o nich coraz głośniej. Dlatego też powstał projekt, o którym wcześniej mówiłam. W Jakucji zawsze panowały ekstremalne warunki. Jest to związane z naszym klimatem oraz ukształtowaniem terenu. Na przykład tu, w Polsce, ludzie nie do końca pojmują jakucki klimat, „zimno” znaczy dla nich co innego niż dla mieszkańców Jakucji. Tam jest nie tylko zimno w powietrzu, na mroźny klimat wpływa także wieloletnia zmarzlina. I właśnie przez coraz to częstsze pożary lasów ten naturalny klimat jest niszczyony.

DLACZEGO WOLICIE BYĆ NAZYWANI NARODEM SACHA?

Sacha to jest własna nazwa. Jakuci to nazwa nadana przez Rosjan w XVI wieku podczas podbojów Syberii. To nie jest nazwa, którą sami wybraliśmy. W naszym języku „sacha” oznacza człowieka. Istnieje nazwa własna i nazwa nadana. Upowszechniona jest ta nadana. Niestety, wśród wielu ludów rdzennych miała miejsce podobna sytuacja. Nadawano plemionom inne nazwy bez ich zgody. Inuici nie lubią być nazywani Eskimosami, a w Ameryce różne plemiona wolą, aby nie nazywać ich Indianami. Jeżeli podchodzimy do innej kultury, do ludów rdzennych, to powinniśmy nazywać ich tak, jak oni nazywają siebie. pochodzi od panteonu bóstw. Podobnie jak w mitologii greckiej i rzymskiej, każda rzecz miała przypisane jakieś bóstwo. Według mitologii nasi praprzodkowie, półbogowie nazywani Ellej i Omogoj, zapoczątkowali pierwsze rody Sacha. Oloncho, które się zachowały do dziś, są wpisane na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

SKORO NAWIĄZAŁA PANI DO MITOLOGII SACHA, TO CZY MOGLĄBY PANI OPOWIĘDZIEĆ O JEGO GŁÓWNYCH WIERZENIACH? JAK WY POSTRZEGACIE OTACZAJĄCY WAS ŚWIAT, UWZGLĘDNIJĄC W NIM SWOJE WIERZENIA?

Jak powiedziałam wcześniej, istnieje wielki panteon bóstw. Ogółem wszechświat jest podzielony na trzy światy: górny – tam, gdzie znajdują się bóstwa i który związany jest z tym, co będzie, potem świat środkowy, zamieszkały przez ludzi i zwierzęta – jest on światem teraźniejszości, zaś na końcu świat dolny, gdzie znajdują się umarli i złe duchy – on kojarzy się z tym, co było. W naszej mitologii bóstwa nie mają twarzy – to człowiek nadaje im obraz i tylko od człowieka zależy to, jak dane bóstwo będzie wyglądać.

W mitologii Sacha nie ma podziału ze względu na rasy, wygląd czy miejsce zamieszkania. Liczy się posiadana wiedza i w jaki sposób ją się wykorzystuje w ciągu życia. Żeby trafić do tego górnego świata człowiek musi zwracać uwagę na to, jaką wiedzę chce posiąść. Każda osoba decyduje o tym, czy będzie to wiedza zła, czy może dobra. W taki sposób postrzegamy ludzi – nie ze względu na wygląd zewnętrznny, lecz na zebraną wiedzę. Trzeba pomagać, z szacunkiem podchodzić do przeszłości, historii, pamiętać o tym, nie zbierać negatywnych doświadczeń – tak wygląda świat teraźniejszy. Dolny świat tworzą głównie duchy, są tam różne poziomy. Zwykle w eposach opisywane jest 9 pięter, na których znajdują się bóstwa. Jednym z najważniejszych bóstw jest Aiyy Tojon. Często jest wyobrażany jako biały duch, który nie ma ciała. Pozostałe bóstwa są patronami ludzi, zwierząt, każdy ma swoją funkcję. Jest na przykład duch ognia, duch wody, duch taigi czy też duch z drzewa życia.

JAK WYGLĄDA I KIEDY MA MIEJSCE WASZE NAJWAŻNIEJSZE ŚWIĘTO?

Najważniejszym świętem jest Ysyach. Odbywa się w okolicach letniego przesilenia. Cały rok dla ludu Sacha jest związany z pracą. Od zawsze zajmowali się oni hodowlą bydła oraz przygotowywaniem się do długiej zimy. Jako że zimą nie można było świętować, czas obrzędów to była para letnia. Podczas najbliższego dnia roku wykonuje się obrzęd błogosławieństwa. Prowadzi go postać szanowana w danej ludności, która jest dobrze przygotowana do tej misji. Na początek jego zadaniem jest nakarmienie ducha ognia mlekiem oraz placuskami. Później zwraca się do bóstwa, mówiąc wierszem o tym, jak wszystkim minął rok, co robili, jak przetrwali oraz dziękuje za to, co im się w ciągu tego roku przytrafiło. Mówca w imieniu wszystkich prosi duchy o błogosławieństwo na kolejny rok. Później zaczyna się korowód, w którym uczestniczą już wszyscy. Wspólnie zaczynają śpiewać i tańczyć. Jest to rodzaj modlitwy transowej, ponieważ nigdy nie wiadomo, ile dokładnie będzie trwać. Każdy łapie się za ręce w kręgu, a mówca śpiewa i recytuje w trakcie tańca – wszystko jest improwizowane. Reszta ludu powtarza za nim słowa obrzędu. Żeby wpuścić się w takie obchody trzeba rozumieć, co mówca chce przekazać. Dlatego też do tej roli trzeba się dobrze przygotować. Istnieją nawet konkursy recytatorskie, które mają na celu podszkolenie takich umiejętności.

JAK WSPOMINA PANI ŻYCIE W REPUBLICE SACHA?

Większość życia spędzam już poza nią. Gdy skończyłem szkołę, od razu wiedziałem, że chcę gdzieś pojechać, aby zdobywać wiedzę. Mając 16 lat, już wyjechałam z Republiki, jednak od zawsze czułam jakąś więź z ojczyzną. Czasami mam tak, że jak jestem gdzieś sama, to poczucie przywiązania do mojego rodzinnego domu daje mi siłę i trudno byłoby mi bez tego przeżyć wśród obcych. Ale również będąc wśród ludzi o odrębnej kulturze, bardziej odczuwam, kim jestem. Pomaga mi to zrozumieć, czym jest mój naród. Zawsze mam potrzebę, aby ludzie szanowali inne kultury, bez pogardy czy stereotypów. Dlatego też towarzyszy mi poczucie pewnej misji, żeby przekazywać wiedzę o własnej kulturze gdziekolwiek bym nie była. Bardzo dobrze wspominam swoje ziemie ojczyste, szczególnie dzieciństwo.

JAK WYGLĄDAŁA OKOLICA, W KTÓREJ PANI MIESZKAŁA?

Kiedy mieszkałam w wiosce, to nawet nie znałam rosyjskiego, ponieważ cała wioska to byli moi krewni. Wyobraźcie sobie, że wychodzicie na ulicę i wszyscy się znają, wszyscy są ze sobą jakoś połączeni. Była to bardzo mała miejscowości. Z jednej strony była ulica, z drugiej lasek, gdzie mogliśmy zbierać grzyby, jagody, przez ten las się przechodziło i znajdowała się tam rzeka Wiluj. Mogłam tam jeździć rowerem nad brzegiem rzeki. Wszystko było bardzo ładne, wszyscy się kolegowali, trochę jak na małej wsi w Polsce. Czułam się tam bezpiecznie i było to miejsce gromadzenia pozytywnej energii i dobrych wspomnień. Później, jak już wspominałam, przeprowadziliśmy się do miasta, a w mieście było zupełnie inaczej. Jakuck to miejsce wielokulturowe. Trzeba było szybko zaadaptować się do nowej rzeczywistości. Dlatego większy sentyment mam do mojej rodzinnej wioski i zawsze chcę tam wracać – nazywam to miejsce moją arkadią.

ZA CZYM PANI TĘSKNI NAJBARDZIEJ, MYŚLĄC O JAKUCJI?

Myślę, że za samym miejscem, ale też za ludźmi, krewnymi, którzy zawsze mnie zrozumieją. Pomimo świadomości, że jesteśmy inni, że posiadamy inną wiedzę oraz doświadczenie, to są rzeczy, które rzeczywiście nas łączą, na przykład wspomnienia z dzieciństwa. Tęsknię głównie za krewnymi, ale też za przyjaciółkami z przeszłości. Zawsze jak przyjeżdzam, to się widujemy, ale jak mówię, z wiekiem czuję, że są coraz większe różnice pomiędzy nami. Czasami jest też tak, że moi znajomi stamtąd mniej wiedzą o swoim narodzie niż ja, ponieważ to ja zajmuję się nim zawodowo. Posiadam większą wiedzę niż ludzie z mojej ojczyzny, bardzo często dlatego, że to dla nich codzienność, której nie poddają refleksji, po prostunią żyją. Myślę, że lepiej się rozumiemy na przykład z badaczami, krajoznawcami czy też mówcami i śpiewakami, niż z ludźmi, z którymi spędziałam moje dzieciństwo.

ZAUWAŻA PANI RÓŻNICE MIĘDZY SPOŁECZNOŚCIĄ SWOJEJ RODZINNEJ OKOLICY, A LUDŹMI TUTAJ, W WARSZAWIE?

Tak, chociaż staram się bardziej skupiać na podobieństwach, na ogólnoludzkich wartościach. Ale oczywiście dostrzegam wiele różnic, zaczynając od krajobrazu, postrzegania przestrzeni – na przykład dla mnie? Wszędzie rzut beretem, ale tutaj mogą powiedzieć, że coś jest strasznie daleko. Poza tym w Polsce dostrzegam więcej narzekania niż tam. Wydaje mi się, że ludzie w Jakucji mniej narzekają głównie z powodu trudnych warunków. Muszą się skupić na tym, co zrobić, żeby rozwiązać swój problem, przetrwać, przystosować się do warunków. Dostosowujemy się do klimatu, krajobrazu, do zmian politycznych, historii. Chyba właśnie te cechy odróżniają naród Sacha od innych narodów.

MARIA JUŽKÓW

JAK NIE ZOSTAĆ „THAT GIRL”?

W ciągu dwóch lat w popularnych mediach społecznościowych takich jak: Tik Tok, Instagram, Pinterest czy YouTube zostaliśmy zasypani filmikami, zdjęciami dziewczyn z hasztagiem #ThatGirl, ale co to właściwie jest i dlaczego stało się tak popularne?

Poranek, yoga i zielone smoothie

Charakterystyka That Girl nie jest skomplikowana. Parę prostych zabiegów, żeby z poranka uczynić rozbudowaną rutynę, która może trwać nawet dwie godziny. Wstaje razem ze wschodem słońca, na pusty żołądek idzie biegać w swoim idealnym stroju treningowym, po tym bierze prysznic z taką ilością peelingów i mydeł, że The Body Shop mógłby się schować. Następnie robi swoją dwudziestu etapową pielęgnację twarzy. A na sam koniec medytuje i przygotowuje „ikoniczne” zielone smoothie zawierające, najbardziej jak to tylko możliwe, organiczne produkty. Możemy zauważać mnóstwo różnych wersji tego trendu, lecz zawsze opierającego się na jednym schemacie. Można by pomyśleć: „Ale przecież trendy takie są! Dlaczego on miałyby być toksyczny?” Dlaczego?

Otoż ten trend przedstawia wyidealizowane życie, które dla nas – widzów, jak i dla nich – twórców jest nie do osiągnięcia. To „spełnienie życiowe” zajmuje tylko 1% naszego całego życia. Widząc te filmiki, chcemy zbudować postać, w którą z biegiem czasu będziemy się zamieniać. Wpadamy w surrealistyczny nurt i topimy się w nim. Programują nas na nowo, ale jeśli coś pójdzie nie tak, czujemy się źle z sobą, że nam nie wyszło, nie jesteśmy idealni, nie jesteśmy jak inni. Zadajemy sobie pytanie: „Dlaczego one potrafią to zrobić, a ja nie?”. I tak to błędne koło się toczy. Lecz nie zawsze tak było.

That Girl na samym początku, różniła się od dzisiejszej. Została stworzona, aby zachęcić do zmianiania swoich nawyków i przerzucenia się na zdrowszy tryb życia. Jej krótkie, ładne, filmiki miały na celu zbudować bezpieczną przestrzeń i pokazać, że zdrowy tryb życia nie musi być ciężki, ale tak jak medal ma dwie strony, to i That Girl ma również dwie strony. Sam pomysł, stworzenia wizerunku mającego motywować w bardzo krótkim czasie i budowania nawyku jest genialny, ale przy tym bardzo chwiejny. Podsumowując, jeśli wszystko w życiu trzeba traktować z przymrużeniem oka, tak ten trend w szczególności.

NINA JAŽNICKA

NIE KAŻDY MUSI, nie wszyscy powinni

Kanał (*nie tylko*) Sportowy

Czterech wybitnych dziennikarzy sportowych zakłada projekt, którego polski Youtube jeszcze nie widział. Znakomite merytorycznie i technicznie materiały głównie o futbolu publikowane prawie codziennie. Spragniona sportowa publika nareszcie ma treści na poziomie znanym tylko z zagranicy. Goście na najwyższym poziomie, świeże formaty przedstawiające piłkę nożną z innej strony, krótko mówiąc – raj dla fanów piłki. Jednak nie mogą się długo nim nacieszyć. Wybuch pandemii, a wraz z nim zawieszenie wszelkich sportów, jest wielkim ciosem uderzającym w całe sportowe media. Kanał Sportowy musi przejść ogromne zmiany, które aż dwa lata później wciąż są sporym problemem.

DOBRE ZŁEGO POCZĄTKI

Zaczyna się niewinnie. Pojawia się zupełnie nowa seria – *Misja Futbol*, której celem jest omówienie kwestii piłkarskich w dobie pandemii. Pojawiają się wywiady online z zawodnikami oraz seria opiniotwórcza *Stanowisko*, w której Krzysztof Stanowski dzieli się swoimi przemyśleniami na temat wydarzeń w piłkarskim świecie. To właśnie ona będzie jednym z powodów późniejszego kryzysu. Seria *Hejt Park*, która do tej pory była związana ze sportem, od sportu powoli odchodzi. Zapraszani są aktorzy i artyści. To właśnie wtedy, w kwietniu 2020 roku kanał przeżywa największy skok popularności. *Hejt Park* i *Stanowisko* robią wyraźnie lepsze wyniki niż serie czysto sportowe, docierając do o wiele szerszej widowni. I tak Kanał (czy wciąż?) Sportowy funkcjonuje przez dłuższy czas.

W międzyczasie piłkarze wracają na boisko, serie wracają na dawne tory, dziennikarze wracają do tego, na czym znają się najlepiej. Kanał zatrudnia ekspertów od innych sportów, rozwijając się jeszcze bardziej. Jednak przez cały rok Kanał nie jest w stanie wejść na poziom z czasów sprzed zawieszenia sportu, pod względem zasięgu. Treści sportowe zwyczajnie nie są tak chętnie oglądane.

To właśnie wtedy, w listopadzie 2020 roku, pojawia się seria *Dziennikarskie Zero* Krzysztofa Stanowskiego. Format już nawet nie udaje powiązania ze sportem. Stanowski sam w pierwszym odcinku mówi o tym, że nie będzie trzymał się tylko piłki nożnej, a wszystkiego, co mu wpadnie w oko. Jest to seria, w której komediowo omawia wydarzenia ze świata. Niesamowite wyniki i ciepły odbiór spowodowały, że seria pojawiała się coraz częściej. Program porusza zarówno tematy polityczne, jak i rozrywkowe, i ma charakter czysto opiniotwórczy, przedstawiając temat, osobę lub wydarzenie, które były w tamtym okresie na ustach wielu ludzi. Materiały były merytorycznie dobrze przygotowane, zrobione z nienaganną profesjonalnością. Odbiór był zdecydowanie pozytywny, kontrowersji nie było. *Dziennikarskie Zero* pozostało dość prześmiewczym źródłem informacji.

W CZYM TKWI PROBLEM?

To jest odpowiedni moment, by powiedzieć, dlaczego tego rodzaju treści w takim miejscu mają zły wpływ na media. Na pierwszy rzut oka wszystko wydaje się dobre: wiarygodne, potwierdzone informacje dotyczące tematu znanego publice, z wyraźnym zaznaczeniem humorystycznego charakteru. Jest jednak pewien problem. Nie tylko jakość i forma przekazywanej informacji są ważne. Liczy się również platforma, w tym przypadku kanał, na którym informacja jest podawana. Treści informacyjne powinny być podawane wyłącznie na poświęconych temu stronach i portalach. Znacznie ułatwia to odbiorcom odnajdywanie się w przepełnionych dezinformacją dzisiejszych mediach. Przyzwyczajanie widzów do tego, że w tym samym miejscu, w którym oglądasz podsumowanie kolejki ligi hiszpańskiej, otrzymasz wiarygodne, obiektywne newsy polityczne ma zły, jeśli nie tragiczny wpływ.

Warto dodać, że Kanał Sportowy jest tu jedynie widocznym przykładem. Konta na Instagramie wrzucające polityczne update'y, influencerzy dzielący się opinią na każdy temat. Stanowski jest jedynie kroplą w oceanie nie do końca wiarygodnych źródeł informacji. Dodatkowo dochodzi dość oczywista stronniczość (która jest otwarcie sygnalizowana we wszystkich materiałach) z miejsca dyskwalifikująca te filmy jako źródło. Zatem czy winna leży po stronie tych influencerów, takich jak Stanowski? Nie. Zamiarem tych materiałów nie jest bycie źródłem informacji, a jedynie prześmiewczymi spostrzeżeniami dziennikarza. Twórca wychodzi z założenia, że osoby oglądające materiał są zapoznane z tematem i mają bardziej lub mniej wyrobioną opinię.

To właśnie tu pojawia się błąd. Materiały są najczęściej publikowane jak najszybciej, tak by zachować świeżość tematu. Konsekwencją tego jest fakt, że dla sporej części odbiorców, szczególnie tych mniej zaangażowanych medialnie, materiał taki może być pierwszym zetknięciem i pierwszą informacją w danej kwestii. Otrzymuje zatem

informacje stronnicze. No ale przecież wie o tym, że są stronnicze, więc na pewno postara się je zweryfikować, prawda? Niestety nie. Większość internautów nie poświęca czasu na *research*, przyjmując informacje za pewnik. Właśnie dlatego dzielenie się opinią, przy okazji przedstawiając wydarzenia, może być nie tyle złe, co mieć bardzo niewłaściwy wpływ na media.

CO DALEJ?

Wróćmy do Kanału. *Dziennikarskie Zero* dalej nie powoduje zbyt dużego poruszenia w mediach, generując spore zasięgi i mając pozytywny odbiór. Jednak włodarze Kanału Sportowego, zachęceni sukcesem serii Stanowskiego, wchodzą we współpracę z Robertem Mazurkiem. Mazurek rozpoczął serię ze Stanowskim, zgrabnie zastępując *Dziennikarskie Zero*. Zaczęła pojawiać się pierwsza krytyka faktu, że pan Mazurek nie do końca pasuje do Kanału Sportowego, jednak seria trwała w najlepsze, a wyniki były doskonałe. Przełom nastąpił 2 miesiące temu.

Panowie uznali, że na Kanale Sportowym muszą się pojawić materiały dotyczące wojny w Ukrainie. Trzeba im oddać, że sami przyznają się do braku kompetencji i zapraszają eksperta w tej dziedzinie. Pojawia się dylemat.

Z jednej strony powoduje to przytoczony przeze mnie problem, z drugiej daje platformę, która skutecznie promuje eksperta w danej dziedzinie. Jednak czy Kanał Sportowy jest na to odpowiednim miejscem? Widownia i środowisko sportowe zgodnie uznali, że nie. Krytyka była wyraźna. Efektem było zaprzestanie występów ekspertów. Program pojawia się dalej, sytuacja ucichła, jedyna krytyka pojawia się od ludzi ze środowiska i to rzadko. Powrócił również program *Dziennikarskie Zero*. Sytuacja się nie zmienia. Kanał Sportowy dalej dokłada swoje cegiełki do bardzo chaotycznego, przepełnionego dezinformacją mediów. Cegiełka jest mała, ale to z małych cegiełek buduje się mury...

GUSTAW SZASZKIEWICZ

WOJNA FUTBOLOWA

Pilka nożna jest sportem z długą historią. Pierwszy oficjalny mecz został rozegrany 30 listopada 1872 roku między Szkocją a Anglią. Od tego czasu Anglicy i Szkoci bardzo poważnie traktują mecze między sobą. Zdecydowanie spotkania tych dwóch drużyn są jednymi z najważniejszych meczów reprezentacyjnych. Derby najczęściej odwołują się do historii danych krajów. Stąd też mecze Argentyny z Angią zawsze stoją pod znakiem kontynuacji wojny o Falklandy. Spotkania z równie historycznym podłożem to chociażby Niemcy–Anglia, Niemcy–Francja czy też Niemcy–Holandia a także Polska–Niemcy czy Polska–Rosja. Jeśli chodzi o mecze klubowe, o relacjach między kibicami decyduje historia miast, klubów, trofeów oraz piłkarze często podgrzewający atmosferę między drużynami. Jakie są zatem najważniejsze i najbardziej elektryzujące derby w piłce nożnej?



EL CLASICO

FC Barcelona – Real Madryt, niegdyś największy mecz piłkarski na świecie, święto piłkarskie, obowiązkowy mecz do obejrzenia. Niestety obecnie po odejściu wielu gwiazd z obu drużyn pokroju Lionel Messiego, Cristiano Ronaldo, Luisa Suareza, Sergio Ramosa, Andresa Iniesty i wielu innych *El Clasico* straciło trochę na wielkości widowiska. Jednak trzeba przyznać, że ostatnie derby na Estadio Santiago Bernabeu, gdzie *Blaugrana* zmiażdżyła Real 0-4, klimatem oraz jakością spotkania odrobinę przypominały starsze klasyki.

Mówiąc o tym wielkim meczu, należy cofnąć się w czasie. Pierwszy klasyk został rozegrany 13 maja 1902 roku, zaledwie dwa miesiące po powstaniu Realu Madryt. W tym legendarnym meczu Barcelona pokonała „Królewskich” 3:1. W starciach tych dwóch drużyn,

w latach około II Wojny Światowej, bardzo widoczna była dyktatura Francisco Franco. Hiszpański dyktator był wielkim fanem Realu Madryt oraz wielkim przeciwnikiem mniejszości etnicznych, czyli między innymi Katalończyków. W 1943 roku obie drużyny spotkały się w półfinale Copa del Generalísimo, obecnego Copa del Rey. W pierwszym meczu rozegranym w Barcelonie, „Duma Katalonii” pokonała Real 3:0. Drugi mecz rozgrywany był w Madrycie. Kwestię awansu do finału w swoje ręce postanowili wziąć politycy. Przed meczem do szatni Barcelony miał wejść dyrektor biura bezpieczeństwa państwowego w towarzystwie wojska. Piłkarze mieli być zastraszeni, a dyrektor miał powiedzieć słowa: *Pamiętajcie, że gracie tutaj dzięki wspaniałomyślności reżimu, który przebaczył wasz brak patriotyzmu*. W konsekwencji *Blaugrana* została rozbita przez Real Madryt aż 11:1! Do wyniku meczu miała przyczynić się nie tylko wizyta uzbrojonych żołnierzy w szatni Barcelony, ale także agresywne oraz niebezpieczne zachowania sympatyków drużyny z Madrytu.

Na szczęście współczesna historia *El Clasico* nie zahacza aż tak bardzo o politykę. Jednak już na początku stulecia w 2000 roku atmosferę między drużynami podgrzał transfer kapitana FC Barcelony, Luisa Figo, który za 56 milionów euro przeszedł do Realu Madryt. Transfer oczywiście spotkał się z ogromną złością kibiców *Barcy*. W listopadzie 2002 roku doszło do spotkania obu drużyn na Camp Nou w Barcelonie. Miejscowi kibice na

trybunach palili koszulki z nazwiskiem Portugalczyka, a podczas gdy Figo wykonywał rzuty rożne, w jego kierunku polecały różne przedmioty, w tym nawet odcięty świński łeb! Klasyk zakończył się bezbramkowym remisem. Przejście portugalskiego zawodnika było jednym z transferów z serii *Galacticos*. Prezes stołecznej drużyny, Florentino Perez, zamarzył by kreować galaktyczny Real, ściągając do *Los Blancos* najlepszych oraz najbardziej medialnych piłkarzy świata. W ten sposób do Realu dołączyły takie gwiazdy jak Zinedine Zidane, Ronaldo Nazario, Luis Figo, David Beckham czy Michael Owen. W teorii miała to być najlepsza drużyna świata. Tamten Real dwukrotnie triumfował w Lidze Mistrzów (2000 i 2002) oraz dwukrotnie został Mistrzem Hiszpanii (2001 i 2003). Projekt zdecydowanie wypalił pod kątem medialnym, w tamtym okresie „Królewscy” stali się potęgą marketingową, jednak sportowo oczekiwano więcej. Sam fakt, że nie udało się w tym samym roku wygrać

Ligi Hiszpańskiej oraz Ligi Mistrzów pozostawał niedosyt. Jednak pewnej drużynie w Hiszpanii udało się wygrać nie jeden, nie dwa, a sześć pucharów w ciągu jednego roku. Udało się to FC Barcelonie w 2009 roku pod wodzą Pepa Guardioli.

Strategia „Dumy Katalonii” polegała na grze wychowankami, piłkarzami ze szkółki Barcelony *La Masia* oraz wspieraniu ich kilkoma transferami. Wtedy w skład drużyny wchodzili tacy piłkarze jak Lionel Messi, Andres Iniesta, Xavi, Thierry Henry, Samuel Eto’o, Carles Puyol czy Victor Valdes. „Barca” wygrała wtedy w jednym roku kalendarzowym Mistrzostwo Hiszpanii, Ligę Mistrzów, Puchar Króla, Superpuchar Europy, Superpuchar Hiszpanii oraz Klubowe Mistrzostwa Świata. Ówcześnie bezkonkurencyjnie najlepszym piłkarzem jaki mógł wziąć udział w *El Clasico* był oczywiście Leo Messi, jednak wkrótce jego pozycja najlepszego piłkarza Klasyku nie była już taka pewna. Latem 2009 roku Florentino Perez ponownie rozbił bank. Za 93 miliony euro na *Estadio Santiago Bernabeu* zawitał kolejny wielki Portugalczyk, Cristiano Ronaldo. Od przyjścia Ronaldo starcie derbowe nie tylko wyłoniło najlepszą drużynę w Hiszpanii, ale również najlepszego piłkarza na świecie, walka toczyła się między Leo a CR7. Właściwie w tym momencie zaczyna się era złotych klasyków XXI wieku.

Już w 2010 roku doszło do pierwszego pamiętnego klasyku dla Ronaldo, wtedy narodziła się *La Manita*. Barcelona pokonała Real u siebie 5:0. W 2011 roku w półfinale Ligi Mistrzów, w dwumeczu „Barca” pokonała *Los Blancos* 3:1, a później tym samym wynikiem „Duma Katalonii” w finale pokonała Manchester United. Kolejny legendarny moment nastąpił w 2012 roku. Wtedy też Real pokonał Barcelonę w Barcelonie 1:2, a Cristiano Ronaldo wykonał ikoniczną „cieszynkę”, tzw. „calmę”, czyli prostym gestem dłoni uspokoił *Camp Nou* po zdobyciu zwycięskiej bramki. Następny ważny moment ma miejsce w 2016 roku, ponownie mecz w stolicy Katalonii, „Barca” po trafieniu Luisa Suarez prowadzi od 53 minuty. W 90 minucie ma miejsce rzut rożny, a po nim pada bramka wyrównująca, strzelona przez kapitana „Królewskich”, Sergio Ramosa. W tym samym sezonie, w 2017 roku ma miejsce mecz w Madrycie. Po czerwonej kartce dla Sergio Ramosa atmosfera jest bardzo napięta, w 85 minucie bramkę wyrównującą na 2:2 dla Realu strzela Kolumbijczyk James Rodriguez. Siedem minut później następuje piękna akcja Barcelony, zakończona bramką Leo Messiego na 2:3 w 92 minucie meczu. Argentyńczyk wykonał wtedy równie ikoniczną „cieszynkę”, co 5 lat wcześniej Ronaldo. Messi zdjął koszulkę i zaprezentował swoje nazwisko na plecach trykotu kibicom Realu Madrytu. Ostatni ikoniczny klasyk ma miejsce w 2018 roku, po odejściu Cristiano Ronaldo. Wtedy też Barcelona u siebie pokonała Real aż 5:1, a geniuszem błysnął Urugwajczyk Luis Suarez, który ustrzelił *hat-tricka*. Od tego czasu niestety Klasyki straciły nieco na atrakcyjności, zakończyła się hiszpańska rywalizacja Leo i CR7, a samemu Argentyńczykowi „zaciął się celownik”. Ostatnią bramkę przeciwko Realowi strzelił w zremisowanym meczu (2:2) 6 maja 2018 roku. Od marca 2020 nastąpiła dominacja Realu w *El Clasico*, „Królewscy” wygrywali w 5 meczach z rzędu kolejno 2:0, 1:3, 2:1, 1:2 oraz 2:3. Jednak 20 marca obecnego roku Barcelona przełamała złą passę i pokonała Real w Madrycie 0:4. Jak przełamywać złą passę, to w wielkim stylu.



BITWA O ANGLIĘ

Przenosimy się na Wyspy Brytyjskie. Tutaj od końca XIX wieku panuje wielka nienawiść między dwoma miastami – Liverpoolem a Manchesterem. Manchester był centrum przemysłu włókienniczego, natomiast Liverpool ma dostęp do morza, toteż właśnie tam trafiały dostawy towarów, co uprzykrzało życie mieszkańców Manchesteru. Budowa Kanału Manchesterskiego pozwoliła odciąć się od portowego Liverpoolu. Wzajemna niechęć oraz rywalizacja między miastami przeniosła się na grunt sportowy, gdy w 1878 roku powstał klub Newton Heath LYR Football Club (później zamieniony na Manchester United FC), a 14 lat później Liverpool FC.

Wiadomym było, że obie drużyny nie będą za sobą przepadać. Oba miasta mają jednak więcej niż jedną drużynę w Lidze Angielskiej, oprócz Liverpoolu z miasta Beatlesów pochodzi jeszcze Everton, a z Manchesteru Manchester City FC. Zatem dlaczego mówimy tylko o rywalizacji The Reds i United? Chodzi o trofea, o wyścig w walce o najlepszą drużynę w kraju. Przykładowo, w latach 1964/67 mistrzowska korona wędrowała z rąk do rąk. 1964 Liverpool, ‘65 Manchester United, ‘66 Liverpool, ‘67 Manchester United. Warto również zaznaczyć, że *The Red Devils* byli w stanie zdobyć mistrzostwo w 1965 roku zaledwie 7 lat po katastrofie samolotu w Monachium w 1958 roku, w której zginęło wielu piłkarzy z Manchesteru. W latach 70 XX wieku sytuacja trochę się zmieniała. *The Reds* rozpoczęły złote lata, natomiast „Czerwone Diabły” spadły do drugiej ligi, ale tylko na rok. W 1977 roku Liverpool został Mistrzem Anglii oraz czekał na finał Pucharu Europy (obecnie Ligi Mistrzów) i drużyna oraz kibice liczyły na potrójną koronę jako pierwsza drużyna w historii futbolu angielskiego. Do szczęścia zabrakło Pucharu Anglii, który Liverpool w finale przegrał z, a jakżeby inaczej, Manchesterem United. Jednak od tego finału na Wembley Stadium, Liverpool przez następne 13 lat zdobył aż osiem tytułów mistrza kraju, dwa Puchary Anglii, cztery Puchary Ligi Angielskiej z rzędu oraz cztery Puchary Europy. W 1990 roku Liverpool miał 18 tytułów Mistrza Anglii, natomiast Manchester United zaledwie 7. Wtedy legendarną drużynę z Anfield Road kreowali tacy piłkarze jak Sir Kenny Dalglish, Ian Rush, Kevin Keegan, Mark Lawrenson, Alan Hansen czy Bruce Grobbelaar. Kluczowi dla sukcesów drużyny z miasta Beatlesów byli również legendarni trenerzy tacy jak Bill Shankly, Bob Paisley, Joe Fagan czy Kenny Dalglish, który po zakończeniu kariery w 1985 roku objął Liverpool. Joe Fagan, który w 1984 roku zdobył z Liverpoolem Puchar Europy, rok później w finale tych samych rozgrywek, rozgrywanym pomiędzy Juventusem a Liverpoolem, był świadkiem tragedii na brukselskim stadionie Heysel, w której zginęło 39 osób, w większości kibiców włoskiej drużyny. Juventus (ze Zbigniewem Bońkiem w składzie) wygrał finał 1:0 po bramce Michaela Platiniego. W 1986 roku nastąpił moment kulminacyjny angielskiej rywalizacji. Stanowisko szkoleniowca Manchesteru United objął Sir Alex Ferguson. Pierwsze lata wyglądały dość nijako, aż do 1990 roku gdy „Czerwone Diabły” sięgnęły po Puchar Anglii. Później poszło już z górki. W latach 1986–2013 Manchester United pod wodzą Sir Alexa zdobył 13 tytułów Mistrza Anglii. Dorobek Mistrzostw Anglii prezentuje się następująco: Liverpool 18, Manchester United 20.

Ferguson dodał do tego pięć razy wygrany Puchar Anglii oraz dwukrotnie wygraną Ligę Mistrzów, z czego obie wygrane w dość dramatycznych okolicznościach. Pierwsze zwycięstwo w tych elitarnych rozgrywkach nastąpiło w 1999 roku w Barcelonie na Camp Nou. Przez całe spotkanie Bayern Monachium prowadził 1:0, w 67 minucie na boisku pojawił się napastnik Teddy Sheringham, a w 81 Ole Gunnar Solskjaer. Jest 91 minuta, wynik wciąż 1:0, United ma rzut rożny, piłkę dośrodkowuje David Beckham, centra ląduje na nodze Ryana Giggsa, który strzela na bramkę, ale piłka trafia do Sheringhama, który strzela na 1:1. 2 minuty później znowu rzut rożny dla Manchesteru, piłkę wrzuca Beckham, ta ląduje na głowie Sheringhama, Teddy podaje głową do Solskjaera, a Norweg strzela na 1:2. Tym sposobem Manchester United zgarnął drugi w historii klubu tytuł Ligi Mistrzów. Trzeci triumf w tych rozgrywkach rozstrzygnął się w rzutach karnych po remisie 1:1 w regulaminowym czasie gry i dogrywce. Angielski finał, 2008 rok, Stadion Olimpijski na Łużnikach, Moskwa, mierzą się Manchester United oraz Chelsea FC. Najpierw w serii jedenastek myli się Cristiano Ronaldo, grający jeszcze w barwach „Czerwonych Diabłów”. Decydującego karnego dla Chelsea nie trafia ich kapitan John Terry, który się... poślizgnął. W ten sposób Manchester United z Polakiem, Tomaszem Kuszczakiem na ławce, zdobywa trzecią Ligę Mistrzów. Poza wyścigami o trofea atmosferę podgrzewali kibice oraz piłkarze. Kibice w okropny sposób drwili z katastrof obu drużyn, układając o nich piosenki. Natomiast piłkarze Manchesteru United, tacy jak Garry Neville czy Wayne Rooney, dbali, by ogień nienawiści nigdy nie zgasł. Neville powiedział kiedyś, że nienawidzi całego Liverpoolu, klubu, miasta, ludzi. Prawy obrońca nienawiść tłumaczył tym, że na czas jego dorastania przypadły złote lata Liverpoolu, co niezbyt podobało mu się jako fanatykowi United. W 2006 roku, gdy w derbowym starciu w 90 minucie na 1:0 strzelił dla United Rio Ferdinand, Neville celebrował przed kibicami przyjeźdzymi z Liverpoolu. Wayne Rooney natomiast był wychowankiem lokalnych rywali Liverpoolu, Evertonu (stadiony obu drużyn dzieli kilometr). Oznaczało to, że dla Anglika czerwona drużyna z miasta Beatlesów jest śmiertelnym wrogiem. Największą niechęć do United w Liverpoolu czuli wychowankowie, wieloletni kapitan Steven Gerrard oraz Jamie Carragher. Gerrard prowokował w starciach z drużyną z Old Trafford takimi zachowaniami, jak całowanie kamery czy taniec imitujący orła po zdobywanych bramkach. Carragher natomiast jako wychowanek *The Reds* nienawiść miał we krwi.

Obecnie lepszą drużyną jest Liverpool, który w trwającym sezonie walczy z Manchesterem City o Mistrzostwo Anglii. Najważniejszy, bezpośredni mecz z City o mistrza zagrał 10 kwietnia z wynikiem 2:2. Mało tego, Liverpool ma wciąż szansę na triumf w Lidze Mistrzów, 5 kwietnia w ćwierćfinale pokonał 1:3 Benfice Lizbonę i zbliżyli się do półfinałów. Liverpoolczycy wciąż mają szansę na Puchar Anglia, czeka ich

16 kwietnia półfinałowe starcie również z Manchesterem City. Warto zaznaczyć, że Liverpool w tym sezonie wygrał już jedno trofeum, 27 lutego w finale Pucharu Ligi po rzutach karnych, pokonując Chelsea. „Czerwone Diabły” ostatnie trofeum wygrały w 2017 roku, pokonując w finale Ligi Europy Ajax Amsterdam 2:1. W tym czasie Liverpool zdobył 5 trofeów. W 2019 roku zdobył puchar Ligi Mistrzów, Superpuchar Europy oraz zwyciężył Klubowe Mistrzostwa Świata, w 2020 Ligę Angielską, a w 2022 Puchar Ligi Angielskiej, a wciąż są w grze o trzy inne trofea.



WOJNA O SAN SIRO

We Włoszech prawdopodobnie najbardziej ekscytującym, derbowym starciem jest albo „Bitwa o Italię” między Juventusem a Interem, albo derby Mediolanu. Skupmy się na tym drugim. Starcie Interu i Milanu jest o tyle ciekawe, że są to dwa kluby z Mediolanu (a wraz Juventusem tworzą tercet najlepszych drużyn w historii włoskiej piłki). Obie mediolańskie drużyny grają na tym samym stadionie, San Siro. Najbardziej utytułowaną włoską drużyną, jeśli chodzi o mistrzostwa kraju, jest Juventus, dzierżący 36 tytułów mistrzowskich. Inter ma 19, a Milan 18. *Nerazzurri* wyprzedzili lokalnych rywali, zdobywając *Scudetto* w sezonie 2020/21, jednak w obecnym sezonie sprawa mistrza kraju podobnie jak w Anglii, jest wciąż otwarta. Obecnie Milan znajduje się na pierwszym miejscu, Inter ze stratą czterech punktów jest trzeci. *Rossoneri* są drugą najbardziej utytułowaną drużyną w historii włoskiej piłki, na koncie mają 48 trofeów, pierwszy Juventus odskakuje na 19 pucharów, mając 67. Inter jest trzeci z 39. AC Milan natomiast jest drugą najbardziej utytułowaną drużyną w kontekście Ligi Mistrzów, pierwszy Real Madryt ma 13 zwycięstw w finałach, Milan ma 7, podium zamykają Liverpool i Bayern z 6, Inter natomiast posiada 3 tytuły. Można zatem stwierdzić, że rywalizacja jest dosyć wyrównana z minimalnym wskazaniem na czerwono-czarną drużynę z Mediolanu.

**Ryszard
Kapuściński**
**WOJNA
FUTBOLOWA**
Czytelnik

WOJNA FUTBOLOWA RYSZARDA KAPUŚCIŃSKIEGO

Gdy mowa o wojnie futbolowej, o starciach derbowych należy przytoczyć książkę „cesarza reportażu”. W swojej książce pt. *Wojna Futbolowa* Ryszard Kapuściński opowiada o swoich najniebezpieczniejszych przygodach w Afryce oraz Ameryce Łacińskiej. Z tym drugim miejscem wiąże się historia starcia Hondurasu z Salwadorem. W 1969 roku wybuchł krótkotrwały konflikt zbrojny między tymi państwami spowodowany wynikiem meczu. Oczywiście nie sam mecz wzniecił iskrę nienawiści, gdyż ta żarzyła się już od jakiegoś czasu, natomiast spotkanie obu drużyn w eliminacjach do Mistrzostw Świata było punktem kulminacyjnym. Salwador wygrał mecz 3:0, jednak na trybunach toczyły się walki kibiców obu państw, natomiast przy boisku ustalone były czołgi. I to jest mecz, który z pewnością można nazwać Wojną Futbolową!

GUSTAW MARCINKOWSKI

W wiklinowym koszyczku, wyłożonym przepiękną, haftowaną chustką białko jaja zaczęło zmieniać kolor na lekko niebieskawy, a jeszcze wczoraj pyszny i świeży chleb, zakończył właśnie ewolucję do rangi pełnoprawnego sucharka. Właściwie tylko symboliczna szczypta soli, która zniknęła pomiędzy cukrowym barankiem, smutnie spoglądającym na kawałek tłustej wędliny, a roztopionym kawałkiem masła, uchowała się w swojej pierwotnej postaci. To nic. Było warto pozwolić tym symbolom dobrobytu, dostatku, odradzającego się życia etc. ulec przeróżnym chemicznym procesom starzenia się, w imię zachowania pięknej tradycji. Tradycji, która polega na skropieniu ich, zapewne niezbyt czystą, wodą.

Pewnie ty też, choć raz w życiu spoglądając na tego rodzaju wielkanocny koszyczek pełen dobroci, zastanawiałeś się: „Czy ja naprawdę muszę to zjeść? Podzielić jajkiem się wypada. Tylko czemu ono takie niebieskie? Dobra, spokojnie w jeden dzień by się tak bardzo nie zepsuło. Chociaż mama pewnie rano poszła poświęcić. Ciekawe jakie drobnoustroje były w tej wodzie święconej...”

Nagle! Rozmyślania przerywają wchodzący do domu goście. W tym samym momencie zdajesz sobie sprawę, jak błahe były twoje dywagacje na temat martwej muchy znajdującej się w chrzanie. Oto bowiem patrzysz na przybyłą właśnie rodzinę. I na twarzach babć, dziadków, cioć, wujków, szwagrów, bratanic i kuzynów maluje się Twoja najbliższa przyszłość. Oczami wyobraźni już widzisz, jak dziadek zasiadając przy stole, momentalnie zmienia się w eksperta od renowacji zabytków, projektowania infrastruktury miejskiej, skoków o tyczce i z ogromnym przekonaniem wygłasza swoje racje. Oczami wyobraźni widzisz jak Twoje ciotki przekrzykują się na tematy okołopolityczne, nie dając sobie nawzajem dojść do słowa. Wujka, który kaźdemu chce służyć radą, mimo że nikt go o nic nie pytał. Nie mija nawet pięć minut – Twoje wyobrażenia zmieniają się w rzeczywistość. Gdy na stole pojawia się niebieskawe jajo, wyjąte z koszyka, aby cała rodzina podzieliła się nim, składając sobie życzenia, wszyscy są zajęci dysputą na temat rozbudowy metra lub wielkości węża w kłębie, gdy on się skłebi lub nie skłebi. Na jajo nikt nie zwraca uwagi. Może to i lepiej.

Nasuwa się kilka pytań. Dlaczego tacy jesteśmy? Dlaczego nie słuchamy innych? Dlaczego wypowiadamy się na tematy, o których nie mamy pojęcia? Dlaczego nie słuchamy kontrargumentów i podważanie przekonań i opinii traktujemy jako osobisty atak? Dlaczego zawsze chcemy się wypowiedzieć i dorzucić swoje trzy grosze?

Wróciłem. Oto:

BIDON KOLORU NIEZNANEGO

cykl felietonów o rzeczach WAŻNYCH i POWAŻNYCH

Jak można zauważyć na filmie dostępnym na kanale Telewizja Sobieskiego w serwisie YouTube o wdzięcznej nazwie poważna debata, znany jestem z tego, że dużo mówię. Dlatego też, temat tego felietonu jest mi wyjątkowo bliski. Oto najczęstsze problemy pojawiające się w rozmowach i dyskusjach.

CZEŚĆ I

SPADKOBIERCY ANTYCZNEGO SZEWCA

Apelles, według opinii starożytnych najwybitniejszy grecki malarz, nadworny portrecista Filipa II Makedońskiego i Aleksandra Wielkiego, według anegdoty spisanej przez Pilniusza Starszego spędzał czas wolny w niezwykle nietypowy sposób. Po ukończeniu obrazu wystawiał go w miejscu publicznym, a sam chował się nieopodal, najpewniej w jakichś krzakach, i nasłuchiwał, co mówią o jego nowym dziele starożytni przechodnie. I tak, zasłyszał opinię szewca, który stwierdził, że namalowane przez Apelisa buty jednej z postaci, nie są wystarczająco realistyczne. Malarz zaakceptował krytykę, gdyż uznał ją za konstruktywną – szewc w końcu na butach się zna – i przemalował obuwie bohatera obrazu. Następnie wystawił dzieło ponownie, by mogło być podziwiane przez ludzi, sam znów ukrywając się nieopodal. Obraz po raz kolejny zaczął krytykować ten sam szewc. Stwierdził, że buty są idealne, ale nie podobały mu się pozostałe części obrazu, sylwetka postaci, tło. Apelles wyszedł wtedy z ukrycia i powiedział: „*Sutor, ne ultra crepidam*” („Szewcze, nic ponad sandał!”). Nie była to najtaktowniejsza wypowiedź w historii, to na pewno. Nie owijając w bawelnę – Apelles najpewniej był charem. Ale miał rację.

To właśnie z tej wypowiedzi powstał termin ultrakrepidarianizm – opisujący zjawisko, wypowiadania się ludzi na tematy, na które nie mają pojęcia, co ważne, połączonego ze szczerym, wewnętrznym przekonaniem o własnej nieomylności. Ludzi ze skłonnością do ultrakrepidarianizmu nazywa się ultrakrepidarianistami lub



prześmiewczo określa się je jako „osoby wszechwiedzące”, które „pozjadały wszystkie rozumy”. Każdy z nas natknął się już zapewne na wielu takich ludzi. Ale dlaczego spotykamy na swojej drodze ultrakrepidarianistów?

Przede wszystkim ultrakrepidarianizm w dużym stopniu powiązany jest z błędem poznawczym zwanym złudzeniem ponadprzeciętności. Zjawisko to znane jest także pod nazwą *Lake Wobedon Effect*, która została zainspirowana fikcyjnym miasteczkiem z książek pisarza Garrisona Keillora, w którym „wszystkie dzieci były ponadprzeciętne”. Złudzenie ponadprzeciętności – ta nazwa nie wymaga dłuższego wyjaśnienia.

Problemy komunikacyjne nieroziłącznie powiązane są z błędami poznawczymi. Te można podzielić na trzy podstawowe kategorie: błędy w ocenie prawdopodobieństwa (np. popularny paradoks hazardysty), błędy w zachowaniu i podejmowaniu decyzji (np. skrywienie zawodowe) oraz stereotypy społeczne. Nie należy mylić ich ze zniekształceniami poznawczymi, które zawsze łączą się z negatywnymi emocjami i zawierają błędy logiczne. Zniekształcenia poznawcze to przykładowo patologiczne uogólnianie czy dygotomia (tzw. czarno-białe myślenie, czyli albo wszystko, albo nic. W przeciwieństwie do zniekształceń poznawczych, ofiarą błędów poznawczych pada każdy człowiek. Najważniejsze, by zdawać sobie z tego sprawę, i gdy osoba, z którą rozmawiasz, wypunktuje je u Ciebie, nie oburzać się i samodzielnie przeanalizować swój proces myślowy.

Matematycznie, oczywiście możliwe jest, by większość wyników była wyższa od średniej, może nawet zdarzyć się tak, że wyższe są wszystkie poza jednym. Oczywiście, w takiej sytuacji przepaść pomiędzy tym jednym a resztą musi być ogromna. W przypadku badań nad złudzeniem ponadprzeciętności jest to jednak zupełnie nieistotne. Dlaczego?

W 1981 roku 80% kierowców zadeklarowało, że należą do 30% najlepszych kierowców [Svenson, *Are we all less risky and more skillful than our fellow drivers?*]. W 2001 większość studentów oceniła samych siebie jako ponadprzeciętnie lubianych [Zuckerman & Jost, *What makes You feel you're so popular?*] W obu badaniach, nie było używane pojęcie średniej.

Powodu występowania efektu ponadprzeciętności badacze doszukują się w kilku miejscach. Pierwszym i najbardziej oczywistym powodem może być egocentryzm. Ta hipoteza zakłada, że ludzie z natury wierzą w swoją wyższość. Jej głośnym zwolennikiem był badacz i socjolog Justin Kruger. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, przeprowadził on wraz z Dawidem Dunningiem słynny eksperyment [Kruger, Dunning, *Unskilled and unaware of it: how difficulties in recognizing one's own incompetence lead to inflated self-assessments*]. Panowie poprosili uczestników badania, by wzięli udział w trzech testach: logicznym, znajomości i poczucia humoru. Następnie uczestnicy mieli za zadanie ocenić własne umiejętności w podanych dziedzinach. W wynikach eksperymentu zauważono, że ludzie o bardzo niskich wynikach testów mieli skłonność do przeceniania swoich kompetencji, czego nie zaobserwowano u ludzi średniozaawansowanych w danej dziedzinie. Co ciekawe, badanie wykazało też, że absolutni eksperci konkretnego zagadnienia, czyli osoby o najwyższych wynikach testów mieli skłonność do przewidywania, że pójdzie im gorzej niż

w rzeczywistości. Tym samym badanie dowiodło postawionej przez Dunninga i Krugera, za Karolem Darwinem, hipotezy, że „ignorancja częściej jest przyczyną pewności siebie, niż wiedza”. Zjawisko niestosownego do prawdziwego poziomu wiedzy lub umiejętności, poziomu pewności siebie nazwano efektem Dunninga-Krugera. Na podstawie tego zjawiska, wydedukować można, że skoro u ludzi występuje ogólna tendencja do zawyżania swoich umiejętności i wiedzy, będąc w rzeczywistości ignorantem, musi mieć to związek ze społecznym zjawiskiem egocentryzmu i uważańia się za kogoś lepszego od innych. Teoria społecznej tendencji do egocentryzmu wydaje się jednak dość płytka, nie zważająca na głębię tematu.

Od czasu badania zaproponowano także inne wyjaśnienia wystąpienia zjawiska. Najbardziej logicznym zdaje się zwrócenie uwagi na brak punktu odniesienia – nie sposób przecież obiektywnie ocenić swoich umiejętności, nie mając porównania do wyników innych. Tę teorię potwierdzają liczne badania, przeprowadzone w taki sam lub podobny sposób jak pierwotny, sprawdzające jednak wiedzę bardziej codzienną, ogólną. Nie zaobserwowano wtedy występowania zjawiska [Juslin, Winman, Olsson, *Naive empiricism and dogmatism in confidence research: a critical examination of the hard-easy effect*].

Najbardziej mi bliska jest hipoteza efektu skupienia – czyli błędu poznawczego objawiającego się przykładaniem zbyt dużej uwagi szczegółom i nieprzyglądzaniu się ogółowi. W takiej sytuacji, gdy zapytam Cię, na ile oceniasz swoje umiejętności przywódcze, przypomnisz sobie ten jeden moment, kiedy wykonując projekt grupowy, na lekcji historii wszyscy słuchali twoich poleceń, a na koniec cały zespół otrzymał dobrą ocenę. Nie zwróciłeś uwagi na to, że w normalnych okolicznościach, twoje zdolności przywódcze nie byłyby aż tak imponujące, a lepszym wytłumaczeniem przypomnianej sobie przez Ciebie sytuacji, będzie Twoja dobra znajomość historii powstania styczniowego. Efekt skupienia może więc być w bardzo mocny sposób powiązany z efektem ponadprzeciętności. A to właśnie efekt ponadprzeciętności, daje rozmówcy wrażenie „pozjadania wszystkich rozumów” i zachęca go do stawiania się w roli eksperta, w tematach, o których tak naprawdę nie ma pojęcia. To jednak nie wystarczy, by wystąpił ultrakrepidarianizm.

By można mówić o tym, że zjawisko to ma miejsce, mówca musi posiadać odrobinę wiedzy na temat tematu. I to *do slownoi odrobinę*. Nie obserwujemy przecież stereotypowych szwagrów wypowiadających się przy stole wielkanocnym na temat budowy atomu żelaza, rosyjskiej literatury XIX wieku lub gramatyki języka szwedzkiego. Jak grzyby po deszczu pojawiają się za to eksperci od szczepień, himalaizmu, doboru kadry narodowej na mistrzostwa czy zagospodarowania przestrzennego miasta. Na każdy z powyższych tematów, stereotypowy wujek będzie

posiadał podstawową wiedzę – bo w autobusie, na monitorze, wyczytał, czym jest technologia mRNA, w młodości wspiął się na Babią Góru czarnym szlakiem, a w drodze powrotnej spotkał w restauracji Jerzego Brzęczka, z którym wymienił dwa zdania na temat billboardu oszpeczającego widok zza okna. Wystarcza liźnięcie tematu – ultrakrepidarianizm intensyfikuje się.

Gdy wystąpią oba elementy, czyli przekonanie o własnej ponadprzeciętności i śladowa znajomość tematu – do ultrakrepidarianizmu potrzebna jest już tylko iskierka – motywacja, by człowiek zaczął mówić. Niektórzy odnajdują ją wewnątrz siebie – gdyż potrzebują być ciągle w blasku reflektorów, centrum uwagi, a niektórych zmusiło do tego otoczenie. Powodem ciągłej, patologicznej potrzeby bycia w centrum uwagi może być zaburzenie osobowości zwane osobowością histrionczną – powodujące nie tylko ciągłą potrzebę attencji i rozbawiania innych, ale także nieustannej walidacji i sympatii osób, z którymi się przebywa. Potrzeba ciągłego wypowiadania, oczywiście najczęściej nie oznaczająca posiadania tego zaburzenia, by je zdiagnozować musi pojawić się także kilka innych czynników. Szukania przyczyn ciągłej chęci dodania czegoś od siebie powinniśmy zacząć od obserwacji otoczenia. Zwrócić uwagę na czasy, w których żyjemy – w mediach społecznościowych cały czas pojawiają się miejsca, w których możesz zamieścić swój komentarz. Internet wręcz bombarduje przekazem „skomentuj”, „wypowiedz się”. Jako społeczeństwo przyzwyczajamy się do takiego stanu rzeczy. Może on być jednym z czynników, które powodują chęć wypowiedzi, a także – o zgrozo – dawania nieproszonych rad. „Kto pytał” stało się ostatnimi czasy tak popularną ripostą zapewne właśnie dlatego – zazwyczaj nikt nie pyta. A gdy nikt nie pyta, warto się zastanowić kilkukrotnie, czy rada naprawdę się przyda. Pamiętaj – nigdy nie wiesz, co tak naprawdę ktoś przechodzi. Gdy myślisz, że wiesz, co powiedzieć – najpewniej się mylisz.

Znikoma znajomość tematu, złudzenie ponadprzeciętności spowodowane brakiem punktu odniesienia swojej wiedzy lub efektem skupienia i zapalnik w postaci chęci do wypowiedzenia swoich myśli na głos – oto przepis na niekończące się wypowiedzi ultrakrepidarian, które potrafią zrównować śniadanie wielkanocne, bardziej niż spleśniały zakwas na żurek.

CZEŚĆ II

UCIEKAJĄCY PRZED STADEM WILKÓW

Przyznam szczerze – zdarza się, że gdy na imprezie rozmowa schodzi na temat okołopolityczny, to moi znajomi zaczynają stanowczo nalegać, żebym przeniósł się z nimi do innego pomieszczenia – na balkon, do ogrodu – możliwie jak najdalej. Być może spowodowane jest to tym, że w bardzo dawnych czasach (około pół roku temu) przejawiałem tendencje do bardzo emocjonalnego i żywego argumentowania swoich poglądów. Można powiedzieć, że często też nie próbowałem nawet zrozumieć argumentów mojego oponenta, przeanalizować co mówi. Jeśli ty, lub ktoś w twoim otoczeniu, ma podobny problem – oto dlaczego.

Według badania neuropsychologów z Instytutu Mózgu i Kreatywności Uniwersytetu Południowej Kalifornii [Kaplan, Gimbel, Harris, *Neural correlates of maintaining one's political beliefs in the face of counterevidence*], gdy oponent w dyskusji wygłasza tezy, z którymi się stanowczo i zdecydowanie nie zgadzasz, reakcja mózgowa jest podobna do reakcji, która ma miejsce po zobaczeniu drapieżnika, przykładowo stada wilków. W badaniu wzięło udział czterdziestoioro zdrowych obywateli stanu Kalifornia, którzy zostali uprzednio poddani zaawansowanej selekcji – do badania dopuszczeni zostali tylko kandydaci, którzy ocenili samych siebie jako radykalnych liberalów i odpowiedzieli stanowczo na osiem pytań politycznych i osiem niepolitycznych. Były to więc osoby o niesamowicie ugruntowanych poglądach, ale identyfikujących się jako liberalne – czyli, w teorii, bardziej otwarte na odmienne światopoglądy.

W trakcie eksperymentu badani, obserwowani pod rezonansem magnetycznym, czytali polityczne i niepolityczne stwierdzenia, na których temat wcześniej zadeklarowali zdecydowane przekonanie,

Praca mózgu, jaką zaobserwowali badacze, różniła się w zależności od stwierdzeń politycznych i niepolitycznych. Przy tych pierwszych, o wiele bardziej aktywne okazały się obszary, które działają w sytuacji zagrożenia, odpalające reakcję *fight or flight* – walcz lub uciekaj. To odpowiedź na ostry stres, którą jako pierwszy opisał neurolog i psycholog Walter Cannon – w skrócie, za występowanie reakcji odpowiedzialna jest masa hormonów (głównie adrenaliny i noradrenaliny) wylewana do krwioobiegu przez nadnercze. Hormony te, uwarunkowują do szybkiego i energicznego działania, któremu bardzo trudno się oprzeć. Ta mechanika ma oczywiste podłożę ewolucyjne – po spotkaniu drapieżnika nasi przodkowie musieli doznać ogromnego wylewu hormonów, by ułatwić i zmierzenie się z zagrożeniem. Głównym obszarem mózgu odpowiadającym za wysłanie impulsu do nadnerczy jest ciało migdałowe – właśnie ono na rezonansie magnetycznym badanych Kalifornijczyków rozświetliło się jak lampki choinkowe.

Wzmożona aktywność ciała migdałowego może powodować wiele chorób i zaburzeń – przykładowo u osób, u których pracuje ono szczególnie intensywnie częściej obserwuje się zaburzenia lękowe, ataki paniki i depresję. Co ciekawe – obserwacja ciała migdałowego okazała się bardzo skutecznym sposobem odróżnienia depresji od zaburzenia efektywnego dwubiegowego. W przypadku tego drugiego, lewa część ciała migdałowego jest mniej aktywna i mniej połączona z resztą mózgu – zaobserwowały to badacze z Westmead Institute for Medical Research oraz Uniwersytetu w Sydney.



Co ważne, gdy jeden z obszarów mózgu wykazuje wzmożoną aktywność, koniecznie robi to kosztem drugiego. W ten sposób ciało migdałowe może osłabić funkcjonowanie przykładowo płata czołowego – odpowiedzialnego za logiczne myślenie czy też planowanie.

Taka reakция mózgu i organizmu w oczywisty sposób nie sprzyja zachowaniu kultury dyskusji – sprzyja za to radykalizacji światopoglądu. Przecież w trakcie rozmowy z osobą o skrajnie odmiennych do twoich poglądach obserwujesz ich gwałtowną reakcję – pojawienie się agresji, krzyku (reakcja *fight*) lub zamknięcie się w sobie i próbę zakończenia rozmowy, niewypowiadanie się (reakcja *flight*). I niestety – jest bardzo duża szansa, że twój przeciwnik obserwuje to samo u ciebie. Przez to proces wymiany poglądów jest zaburzony – druga strona konfliktu zaczyna być obiektem nienawiści albo – strachu, co dowiodło Pew Research Center – w Stanach 55% zwolenników Demokratów obawia się Republikanów, za to 49% Republikanów odzuwa strach przed Demokratami. Koniec dygresji, odpłynąłem trochę, a ciotki przy wielkanocnym śniadaniu nadal się przekrykują.

Niesłuchanie rozmówcy może być spowodowane jeszcze jednym ważnym czynnikiem – przekonaniem, że wiemy, co zaraz powie. Gdy masz silne wyobrażenie na temat jakiejś osoby lub po prostu bardzo dobrze ją znasz, pojawia się w głowie przeświadczenie o tym, że wiemy, co osoba powie, dlatego nie skupiamy się do końca na jej wypowiedzi. Przeświadczenie to może być spowodowane wyglądem rozmówcy, czy też stereotypami na temat grupy społecznej, do której należy. W takiej sytuacji może zadziałać efekt potwierdzenia – kolejny błąd poznawczy. Jest on kojarzony głównie z przepowiedniami i horoskopami – to właśnie efekt potwierdzenia sprawia, że po przeczytaniu jakiegoś rodzaju wróżby, zwracasz większą uwagę na wydarzenia ją potwierdzające, a te które są z nią niekompatybilne – ignorujesz. Podobna mechanika może pojawić się w rozmowie z osobą, na której temat masz konkretne przekonanie – będziesz zwracać uwagę na wypowiedzi potwierdzające twoje przekonania i nie zauważać tych sprzecznych z nimi.

Tak więc, gdy nastepnym razem twoja ciotka zacznie obrzucać cię obelgami i gwarantować ci, że jesteś na prostej drodze do wiecznego potępienia ze względu na czerwony piorun znajdujący się w szybie twojego okna, zdaj sobie sprawę, że w jej oczach jesteś ogromnym, goniącym ją tygrysem. W takiej sytuacji emocjonalna odpowiedź tylko potwierdzi jej podświadome przekonanie. Może ona także mieć tak głęboko zakorzenione wyobrażenie na twój temat, że nieważne, co powiesz, w jej postrzeganiu to i tak utwierdzi jej obraz ciebie. Próba racjonalnego wy tłumaczenia jej swojego postrzegania świata byłaby, z pewnością, godna pochwały, niemniej to zadanie może być bardzo trudne. Czasem najlepiej po prostu nie mówić nic.

PODSUMOWANIE

Teraz, gdy już znasz główne powody, dla których w trakcie uroczystości rodzinnych, czy innych spotkań towarzyskich trudno o wartościowy dialog, zastanawiasz się pewnie, co można zrobić by to zmienić. Oto kilka propozycji ode mnie.

Po pierwsze – szukaj w swoim myśleniu błędów poznawczych – gdy ja zacząłem skupiać się na własnym procesie myślenia, zauważałem, jak często mogą się one pojawiać. Znajdź w internecie przykłady najczęstszych błędów i przeanalizuj ostatnią działalność swojego mózgu pod ich kątem. Po jakimś czasie zaczniesz zauważać je w swoim myśleniu, nawet ich nie szukając – uwierz mi, to daje dziką satysfakcję. Po drugie – zastanów się, czy słuchasz innych w odpowiedni sposób. W tym pomoże ci książka *W ogóle mnie nie słuchasz. Czyli co nam umyka i dlaczego, to takie ważne* autorstwa Kate Murphy – amerykańskiej dziennikarki, która w swoim życiu przeprowadziła masę wywiadów, więc na słuchaniu się zna. Książka porusza tematykę najczęstszych problemów komunikacyjnych związanych z niedostateczną umiejętnością słuchania ze zrozumieniem. Bardzo polecam. Po trzecie – zastanów się, czy nie zdarza Ci się mówić tylko po to, żeby mówić. Jak duża u Ciebie jest potrzeba bycia w świetle reflektorów? Czy zmniejszenie jej byłoby bardzo bolesne? – dla mnie najważniejsze – na litość boską. Nie udzielaj ludziom rad, o które nie proszą. Oczywiście nie mówię tu o sytuacjach ekstremalnych, ale gdy na szali nie znajduje się ludzkie życie lub zdrowie (fizyczne lub psychiczne) – daruj sobie nieproszone rady. Koniec końców – rozmowa powinna być rozwijająca i przyjemna. Jeśli chcesz, żeby rozmowy, w których uczestniczysz, były właśnie takie, zwracaj uwagę na to, co mówisz i jak reaguje na to druga strona. Jeśli jednak ludzie, z którymi rozmawiasz, są nieznośnymi rozmówcami, wciąż się wymadrzają i nie słuchają, co masz do powiedzenia, a gdy zwróciś im na to uwagę, bagatelizują to, przyjmują postawę obronną lub – co najgorsze – zaczynają być agresywni – po prostu z nimi nie rozmawiaj.

Myślę, że to ważne.

JANEK WYRZYKOWSKI